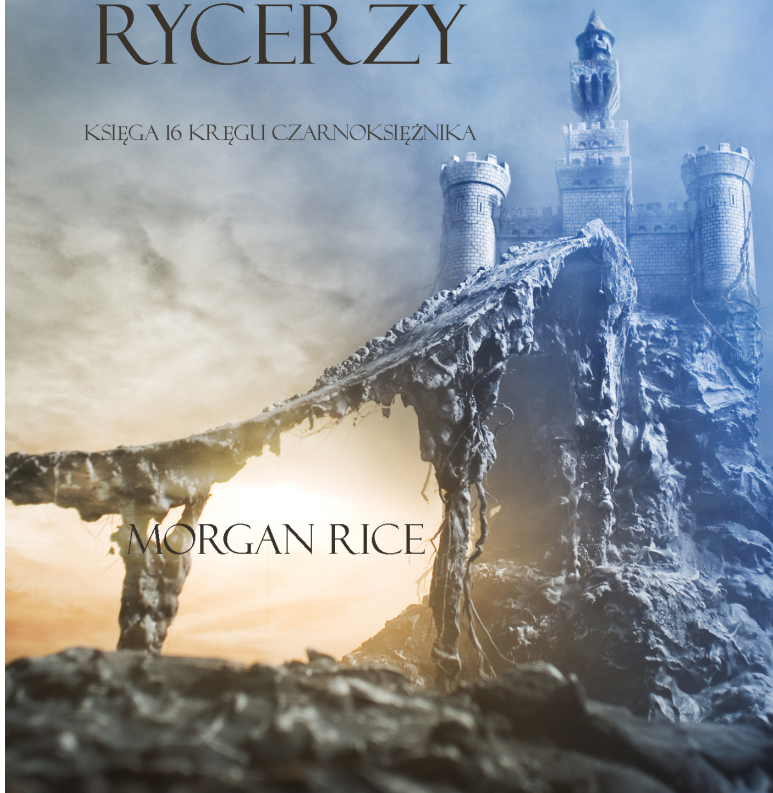


POTYCZKI RYCERZY

KSIĘGA 16 KRĘGLI CZARNOKSIĘŻNIKA

MORGAN RICE



Morgan Rice
Potyczki Rycerzy
Серия «Кругу
Czarnoksiężnika», книга 16

*http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=43696327
POTYCZKI RYCERZY (KSIĘGA 16 KRĘGU CZARNOKSIEŻNIKA):
ISBN 9781094303505*

Аннотация

KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA ma wszystko, czego potrzeba książce, by odnieść natychmiastowy sukces: intrygi, kontryntrygi, tajemnicę, walecznych rycerzy i rozwijające się związki, a wśród nich złamane serca, oszustwa i zdrady. To świetna rozrywka na wiele godzin, która przemówi do każdej grupy wiekowej. Wszyscy fani fantasy powinni znaleźć dla niej miejsce w swojej bibliotece. – Books and Movies Reviews, Roberto Mattos (Wypowiedź na temat Wyprawy Bohaterów) Świetne rozrywkowe fantasy. – Kirkus Reviews (Wypowiedź na temat Wyprawy Bohaterów) To początek czegoś, co warto będzie odnotowania. – San Francisco Book Review (Wypowiedź na temat Wyprawy Bohaterów) POTYCZKI RYCERZY jest szesnastą częścią bestsellerowego cyklu powieści KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA, który rozpoczyna WYPRAWA BOHATERÓW – księga pierwsza dostępna bezpłatnie, posiadająca ponad pięćset pięciogwiazdkowych komentarzy na stronie Amazon.

W POTYCZKACH RYCERZY Thorgrin i jego bracia podążają przez morze śladem Guwayne'a na Wyspę Światła. Kiedy jednak dopływają na miejsce, zastają spustoszenie i konającego Ragona. Na wszystko jest już być może za późno. Darius zostaje sprowadzony do stolicy Imperium, na największą arenę w jej dziejach. Pobiera nauki u tajemniczego człowieka zdecydowanego stworzyć z niego wojownika i pomóc mu przetrwać to, co nieprawdopodobne. Stołeczna arena nie przypomina jednak niczego, co widział dotychczas. Potężni przeciwnicy mogą też okazać się dla niego nie do pokonania. Król i królowa Grani proszą Gwendolyn o przysługę i wciągają ją w zawiłe rodzinne sprawy i życie na królewskim dworze. Podejmuje się misji wydobycia na światło dzienne tajemnic, które mogą wpłynąć na przyszłość całej Grani i ocalić Thorgrina oraz Guwayne'a; Gwen draży nazbyt głęboko i jej odkrycia wywołują w niej wstrząs. Wiąż między Erekiem i Alistair pogłębia się wraz z ich podróżą w górę rzeki. Płyną ku sercu Imperium zdecydowani znaleźć Volusię i ocalić Gwendolyn – tymczasem Godfrey i jego czereda sieją spustoszenie wewnątrz Volusii, kierowani żądzą zemsty za swoich przyjaciół. Volusia zaś przekonuje się na własnej skórze, z czym wiąże się władanie Imperium – gdy niestabilne miasto zostaje ze wszystkich stron obleżone przez wroga. Natchnione fantasy... To tylko początek doskonałej serii książek fantasy dla młodzieży. – Midwest Book Review (Wypowiedź na temat Wyprawy Bohaterów) Przyjemne do czytania... cały czas chcesz się dowiedzieć co będzie dalej, więc książkę trudno odłożyć na bok – FantasyOnline.net (Wypowiedź na temat Wyprawy Bohaterów) Pełne akcji... Pisarstwo Riece jest rzetelne i bardzo intrygujące. – Publishers Weekly (Wypowiedź na temat Wyprawy Bohaterów)

Содержание

| | |
|-----------------------------------|----|
| ROZDZIAŁ PIERWSZY | 16 |
| ROZDZIAŁ DRUGI | 20 |
| ROZDZIAŁ TRZECI | 31 |
| ROZDZIAŁ CZWARTY | 39 |
| ROZDZIAŁ PIĄTY | 48 |
| ROZDZIAŁ SZÓSTY | 53 |
| ROZDZIAŁ SIÓDMY | 59 |
| ROZDZIAŁ ÓSMY | 63 |
| ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY | 71 |
| Конец ознакомительного фрагмента. | 82 |

Morgan Rice
POTYCZKI RYCERZY
(KSIEGA 16 KREGU
CZARNOKSIEŻNIKA)

POTYCZKI RYCERZY

(KSIEGA 16 KREGU CZARNOKSIEŻNIKA)

Morgan Rice

PRZEKŁAD

MICHAŁ GŁUSZAK

O autorce

Morgan Rice plasuje się na samym szczycie listy USA Today najpopularniejszych autorów powieści dla młodzieży. Morgan jest autorką bestsellerowego cyklu fantasy KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA, złożonego z siedemnastu książek; bestsellerowej serii WAMPIRZE DZIENNIKI, złożonej, do tej pory, z jedenastu książek; bestsellerowego cyklu thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL TRILOGY, złożonego, do tej pory, z dwóch książek; oraz najnowszej serii fantasy KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY, składającej się z dwóch części (kolejne w trakcie pisania). Powieści Morgan dostępne są w wersjach audio i drukowanej, w ponad 25 językach.

Morgan czeka na wiadomość od Ciebie. Odwiedź jej stronę internetową www.morganricebooks.com i dołącz do listy mailingowej, a otrzymasz bezpłatną książkę, darmowe prezenty, darmową aplikację do pobrania i dostęp do najnowszych informacji. Dołącz do nas na Facebooku i Twitterze i pozostań

z nami w kontakcie!

Wybrane komentarze do książek Morgan Rice

„KRAŁ CZARNOKSIEŻNIKA ma wszystko, czego potrzeba książce, by odnieść natychmiastowy sukces: intrygi, kontryntrygi, tajemnicę, walecznych rycerzy i rozwijające się związki, a wśród nich złamane serca, oszustwa i zdrady. To świetna rozrywka na wiele godzin, która przemówi do każdej grupy wiekowej. Wszyscy fani fantasy powinni znaleźć dla niej miejsce w swojej biblioteczce.”

– Books and Movie Reviews, Roberto Mattos

“Zajmujące epickie fantasy.”

– Kirkus Reviews

„Początki czegoś niezwykłego.”

– San Francisco Book Review

„Powieść pełna akcji... Styl Rice jest równy, a początek serii intryguje.”

– Publishers Weekly

„Porywające fantasy... Zapowiada się obiecująca epicka seria dla młodzieży.”

– Midwest Book Review

Książki autorstwa Morgan Rice

RZĄDY MIECZA

MARSZ PRZETRWANIA (CZEŚĆ 1)

O KORONIE I CHWALE

**NIEWOLNICA, WOJOWNICZKA,
KRÓLOWA (CZEŚĆ 1)**

**ZŁOCZYŃCA, WIĘŹNIARKA,
KRÓLEWNA (CZEŚĆ 2)**

RYCERZ, DZIEDZIC, KSIAŻĘ (CZEŚĆ 3)

KRÓLOWIE I CZARNOKSIĘŻNICY

POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ #1)

POWRÓT WALECZNYCH (CZEŚĆ #2)

POTEGA HONORU (CZEŚĆ #3)

KUŹNIA MĘSTWA (CZEŚĆ #4)

KRÓLESTWO CIENI (CZEŚĆ #5)

NOC ŚMIAŁKÓW (CZEŚĆ #6)

KRĘGU CZARNOKSIEŻNIKA

WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)

MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)

LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)

ZEW HONORU (CZEŚĆ 4)

BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)

SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)

RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)

TRYLOGIA O PRZETRWANIU

**ARENA JEDEN: ŁOWCY
NIEWOLNIKÓW (CZEŚĆ 1)**

ARENA DWA (CZEŚĆ 2)

WAMPIRY, UPADŁA

PRZED ŚWITEM (CZEŚĆ 1)

WAMPIRZE DZIENNIKI

PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)

KOCHANY (CZEŚĆ 2)

ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)

PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)

POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)

ZARECZONA (CZEŚĆ 6)

ZAŚLUBIONA (CZEŚĆ 7)

Copyright © Morgan Rice, 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Za wyjątkiem wyjątków określonych w ustawie U.S. Copyright Act z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, dystrybuowana ani zmieniana (w żadnej formie ani w żadnym znaczeniu) ani przechowywana w bazach danych, czy systemach wyszukiwania treści bez uprzedniej zgody autorki.

Niniejszy ebook przeznaczony jest wyłącznie do osobistego użytku. Nie może on być odsprzedawany, ani oddawany innym ludziom. Jeśli chcesz podzielić się tą książką z inną osobą, prosimy, o zamówienie dodatkowej kopii dla każdego odbiorcy. Jeśli czytasz tę książkę, a nie została ona przez ciebie zamówiona, albo nie została zamówiona do wyłącznego użycia przez ciebie, prosimy o jej zwrócenie i zamówienie własnej kopii. Dziękujemy za uszanowanie ciężkiej pracy autorki.

Niniejsze dzieło opisuje historię fikcyjną, imiona, bohaterowie, firmy, organizacje, miejsca, uroczystości i wydarzenia również stanowią wytwór wyobraźni autorki i są fikcyjne. Wszelkie podobieństwa do rzeczywistych osób, żyjących lub martwych, są przypadkowe.

Ilustracja użyta na okładce Copyright Razumovskaya Marina Nikolaevna, została wykorzystana na licencji Shutterstock.com



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Thorgrin stał na dziobie smukłego okrętu, przytrzymując się relingu. Wiatr zwiewał mu włosy do tyłu. Wpatrywał się w horyzont z coraz większym niepokojem. Przejęty od piratów okręt sunął po morskich wodach szybko, na ile tylko pozwalał na to wiatr. Elden, O'Connor, Matus, Reece, Indra oraz Selese sprawowali pieczę nad żaglami podczas gdy Angel stała u boku Thorgrina, który, choć nękany niecierpliwością, wiedział, że szybciej nie popłyną. Mimo to, siłą woli starał się sprawić, by tak się stało. Po tak długim czasie był wreszcie pewien, że Guwayne znajduje się tuż przed nim, ledwie za horyzontem, na Wyspie Światła. Z równie wielkim przekonaniem wyczuwał też i to, że Guwayne'owi coś zagraża.

Nie potrafił pojąć, jak to możliwe. Wszak, kiedy ostatni raz go widział, Guwayne przebywał cały i zdrow na Wyspie Światła, pod opieką Ragona, czarnoksiężnika równie potężnego, co jego własny brat. Argon był najznakomitszym wśród znanych Thorgrinowi czarnoksiężników – ochraniał poniekąd cały Krąg – Thor nie mógł pojąć, z jakiej przyczyny Guwayne'owi miałyby stać się jakakolwiek krzywda, kiedy strzeże go Ragon.

O ile nie istniała jakaś moc, o której Thor nigdy jeszcze nie słyszał, potężna moc mrocznego czarnoksiężnika, która dorównywała nawet tej, którą władał Ragon. Czy mogła istnieć jakaś sfera życia, jakaś mroczna siła, złowrogi czarnoksiężnik, o

których nie było mu wiadomo?

Jednakowoż, z jakiego powodu zwróciły się one przeciw jego synowi?

Wrócił myślami do owego dnia, kiedy w pośpiechu porzucił Wyspę Światła pod wpływem sennego zaklęcia, owładnięty myślą, by jak najszybciej opuścić to miejsce, wraz ze wschodem słońca. Spoglądając na tamte wydarzenia z perspektywy czasu, rozumiał, że został przechytrzony przez jakąś mroczną moc, która odciągnęła go od syna. Tylko dzięki Lycoples, która wciąż krążyła nad jego okrętem, wydając krzyki, znikając za horyzontem raz po raz, podjął się drogi powrotnej na wyspę. W końcu ruszył w odpowiednim kierunku. Dotarło do niego, że przez ten cały czas miał przed sobą wszelkie znaki. Dlaczego je zignorował? I przede wszystkim, jaka to mroczna moc wodziła go na manowce?

Przypomniał sobie cenę, jaką przyszło mu zapłacić: uwolnione z piekieł demony, rzuconą na niego przez mrocznego władcę klątwę. Wiedział, że przyjdzie mu zmierzyć się z konsekwencjami tej klątwy, że czekają go nowe próby, i, że to jest właśnie jedna z nich. Zastanawiał się, jakie jeszcze sprawdziany przyjdzie mu zdać? Czy kiedykolwiek odzyska syna?

– Nie zamartwiaj się – dobiegł go słodki głos.

Thor odwrócił się, spuścił wzrok i ujrzał szarpiącą go za koszulę Angel.

– Wszystko będzie dobrze – dodała z uśmiechem.

Thor uśmiechnął się do niej i położył jej dłoń na głowie. Jej obecność jak zwykle dodała mu otuchy. Pokochał Angel jak własną córkę, córkę, której nigdy nie miał. Czerpał pociechę z jej towarzystwa.

– A jeśli nie – dodała z uśmiechem – już ja o to zadbam!

Dumnie wzniosła swój niewielki łuk, który wyciosał dla niej O'Connor, i pokazała Thorowi, że potrafi naciągnąć cięciwę. Thor uśmiechnął się rozbawiony, gdy uniosła łuk do piersi, drżącą dłonią umieściła w nim niewielką, drewnianą strzałę i naciągnęła sznurek. Zwolniła chwyt i strzała pomknęła, drgając w powietrzu, za pokład, wprost do oceanu.

– Zabiłam jakąś rybę? – spytała podnieconym głosem, po czym podbiegła do burty i wyjrzała radośnie na zewnątrz.

Thor spojrział w dół, w spienioną morską kipieli. Nie był tego taki pewien, jednak uśmiechnął się mimo to.

– Jestem pewien, że tak – powiedział uspokajająco. – Może nawet rekina.

Usłyszał odległy pisk i nagle począł rozglądać się bacznie. Znieruchomiał całkowicie, z dłonią na rękojeści miecza. Wpatrywał się przed siebie, przeczesując wzrokiem horyzont.

Zalegające tam ciężkie, szare chmury z wolna przerzedziły się i Thor ujrzał widok, który zmroził mu serce: w oddali widniały smugi czarnego dymu unoszące się pod samo niebo. Kiedy odplynęły kolejne chmury, Thor dostrzegł, iż ów dym unosił się nad odległą wyspą – nie taką zwyczajną, lecz wyspą ze stromymi klifami i rozległym płaskowyżem na ich szczycie. Wyspą, której

nie mógł pomylić z żadną inną.

Wyspą Światła.

Thor odczuł ból w piersi na widok nieba pociemniałego od złowrogich, przypominających gargulce stworzeń. Krążyły nad tym, co pozostało z wyspy, niczym sępy, przekrzykując się i wypełniając powietrze piskiem. Stanowiły jedną, wielką armię, pod którą, poniżej, widniała wyspa – cała ogarnięta pożogą. Ani jeden jej zakątek nie ostał się bez szwanku.

– SZYBCIEJ! – krzyknął Thor, wrzeszcząc na wiatr, wiedząc, że to daremny trud. Nigdy w życiu nie czuł się taki bezradny.

Lecz nie mógł nic więcej uczynić. Obserwował płomienie, dym, odlatujące potwory, słyszał krzyk unoszącej się wyżej Lycoples i wiedział, że jest już za późno. Nikt nie mógł tego przetrwać. Ktokolwiek, kto przebywał na tej wyspie – czy to Ragon, Guwayne, czy w ogóle ktoś inny – z pewnością, bez cienia wątpliwości, był już martwy.

– NIE! – wrzasnął Thorgrin, przeklinając niebiosa. Oceaniczna piana chłostała mu twarz, kiedy przybywał, zbyt późno, na wyspę śmierci.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gwendolyn stała w osamotnieniu, z powrotem w Kręgu, w zamku swej matki. Rozglądała się wokół po otoczeniu i wtem dotarło do niej, że coś jest nie całkiem w porządku. Zamek był opuszczony, pozbawiony mebli, odarty z dobytku, bez okien, przepięknych witraży, które kiedyś je zdobiły. Pozostały jedynie ślady w kamiennej posadzce opromienione światłem zachodzącego słońca. W powietrzu unosił się kurz, a całe to miejsce sprawiało wrażenie, jakby od tysięcy lat nie było zamieszkane.

Wyjrzała przez okno i zobaczyła krajobraz Kręgu – ziemię, które kiedyś знаła i pokochała całym sercem, a które obecnie leżały odłogiem jałowe, wynaturzone, groteskowe. Jakby na świecie nie pozostało już nic dobrego.

– Córkó moja – dobiegł ją głos.

Gwendolyn obróciła się i ujrzała matkę. Była zdumiona. Kobieta spoglądała na nią. Jej twarz, pociągła i blada, ledwie przypominała jej matkę, tę, którą kiedyś znała i zapamiętała. Przypominała matkę z łoża śmierci, matkę, która wyglądała, jakby była nadto wiekowa, jak na jedno życie.

Gwen poczuła ucisk w gardle. Pojęła, iż mimo wszystkiego, co między nimi zaszło, tęskniła za nią ogromnie. Nie wiedziała, czy to za nią tak tęskniła, czy też tylko za swą rodziną, czymś znajomym, za Kręgiem. Czego by nie oddała za możliwość bycia

z powrotem w domu, miejscu dobrze jej znanym.

– Matko – odparła, nie mogąc uwierzyć w widok, który miała przed sobą.

Wyciągnęła do niej rękę, lecz w tej samej chwili, nagle, znalazła się gdzie indziej. Stała na wyspie, na skraju urwiska, osmalonej ziemi, która właśnie została obrócona w popiół. W powietrzu unosił się ciężki swąd dymu i siarki, który wypalał jej nozdrza. Zwróciła się twarzą ku wyspie. Kiedy wiatr rozwiał kłęby popiołu, rozejrzała się wokół i dostrzegła łódeczko, zrobione ze złota, osmalone, jedyny przedmiot, który ostał się w krajobrazie żaru i popiołu.

Thukło jej się serce w piersi, kiedy podeszła bliżej, zalekniona, pragnąc zobaczyć, czy jej syn jest w środku, czy nic mu nie dolega. W jakiejś mierze upajała ją myśl, iż sięgnie, chwyci i przycisnie dziecko do piersi, nigdy już go nie wypuści. Z drugiej strony obawiała się, że może go tam nie być – albo gorzej, że może być martwe.

Pobiegła przed siebie, nachyliła się i zajrzała do żłóbka. Serce jej pękło, kiedy przekonała się, że jest pusty.

– GUWAYNE! – zawołała, cierpiąc katusze.

Usłyszała krzyk, wysoko w powietrzu, który zgrał się z jej własnym. Podniosła wzrok i ujrzała zastępy czarnych stworzeń przypominających gargulce. Odlatywały właśnie. Serce jest stało, kiedy w szponach ostatniego z nich zauważyła dziecko. Zwisało bezwładnie i płakało. Odlatywało w mroczne niebo, niesione przez armię ciemności.

– NIE! – wrzasnęła Gwen,

Obudziła się z krzykiem. Usiadła na łożu, wypatrując wszędzie Guwayne’a, wyciągając ramiona, by go ocalić, przygarnąć do piersi.

Lecz nigdzie go nie było.

Siedziała na łóżku i oddychała ciężko, starając się pojąć, gdzie się znajduje. Przygaszone światło brzasku przenikało przez okiennice i dopiero po kilku chwilach dotarło do niej, gdzie jest: w Grani. W królewskim zamku.

Poczuła coś na dłoni. Spuściła wzrok i zobaczyła Krohna, który polizał jej dłoń, po czym złożył głowę na jej kolanie. Usiadła na skraju łoża, westchnęła głęboko i pogłaskała go po głowie. Z wolna orientowała się w otoczeniu, wciąż odczuwając skutki strasznego snu.

Guwayne, pomyślała. Jej sen wydawał się taki prawdziwy. Był czymś więcej niż snem, była tego pewna – był wizją. *Guwayne*, gdziekolwiek był, znalazł się w tarapatach. Został wprowadzony przez jakieś ciemne moce. Przeczuwała to.

Wstała wstrząśnięta bez reszty. Jeszcze nigdy wcześniej nie czuła tak palącej potrzeby odszukania syna, odszukania męża. Nade wszystko pragnęła go ujrzeć i wziąć w ramiona. Wiedziała jednak, że nie jest jej to teraz pisane.

Starła łzy, owinęła się jedwabnym szlafrokiem i szybko bosymi stopami przeszła przez pomieszczenie po kamiennych, chłodnych płytach posadzki ku strzelistemu oknu. Odepchnęła witraż i wpuściła do środka stonowane światło świtu. Pierwsze

słońce wstawiało właśnie, zalewając okolicę szkarłatną poświatą. Widok zapierał dech w piersiach. Gwen rozejrzała się, chłonąc pejzaż Grani, nieskazitelnej stolicy tej krainy oraz otaczających ją bezkresnych pól, rozległych pagórków i bujnych winnic, wszelkiej obfitości, jakiej nigdy w życiu w jednym miejscu nie widziała. Dalej zaś połyskiwał błękit jeziora – za którym widniały szczyty Grani, otaczające krainę idealnym kręgiem ginącym w oparach mgły. To wszystko wyglądało tak, jakby nigdy żaden kataklizm nie mógł zniszczyć tej krainy.

Przyszedł jej na myśl Thorgrin, potem Guwayne, obaj gdzieś poza tymi szczytami. Gdzie byli? Czy kiedykolwiek zobaczy ich ponownie?

Podeszła do rezerwuaru, spryskała twarz wodą, po czym szybko nałożyła odzienie. Wiedziała doskonale, że nie znajdzie Thorgrina ani Guwayne'a, siedząc tu, na miejscu, i owładnęła ją przemożna potrzeba działania. Jeśli ktokolwiek był w stanie jej w tym pomóc, być może król był tą osobą. Musiał znać jakiś sposób.

Gwen przypomniła sobie ich wspólną rozmowę, kiedy przechadzali się po grani, obserwując wyjazd Kendricka. Przypomniła sobie tajemnicę, którą jej powierzył. O tym, że umiera. Że Grań umiera. Mogła poznać wiele innych tajemnic – lecz przerwano im. Doradcy króla w oka mgnieniu zajęli jego uwagę jakąś niecierpiącą zwłoki sprawą, ale kiedy odchodził, złożył obietnicę, że powie jej więcej – i poprosi o przysługę. Czego mógł od niej oczekiwać? zastanawiała się. O jaką

przysługę mu chodziło?

Król poprosił o spotkanie w sali tronowej, o brzasku, i Gwen pospiesznie ubrała się, wiedząc, że już jest spóźniona. Była wciąż otumaniona po śnie.

Biegnąc przez komnatę, poczuła głód. Przypominało o sobie łaknienie, które wzbudziło w niej Wielkie Pustkowie. Zerknęła w bok, na pozostawione dla niej na stoliku specjały – różnorakie pieczywo, owoce i desery – chwyciła szybko co nieco i zjadła po drodze. Pochwyciła więcej, niż było jej trzeba. Schyliła się i nakarmiła połowę zdobyczy Krohna, który zamruczał, wyrwał jej pokarm z dłoni i ochoczo przyłączył się do uczty. Była bardzo wdzięczna za to jedzenie, schronienie, tę całą szczodrość – za to, że pod niektórymi względami czuła się, jakby znowu była w Królewskim Dworze, na zamku, w którym dorastała.

Kiedy wyszła z komnaty, strażę stanęły na baczność, otwierając przed nią ciężkie, dębowe drzwi. Przeszła obok nich zamaszystym krokiem i ruszyła słabo oświetlonym, kamiennym zamkowym korytarzem, rozświetlonym nieco przez dogasające po nocy pochodnie.

Dotarła na kraniec korytarza i wspięła się po krętych kamiennych schodach, z towarzyszącym jej nieodłącznie Krohnem. Dotarła na wyższą kondygnację, gdzie, jak już doskonale wiedziała, mieściła się sala tronowa. Powoli oswajała się z zamkiem. Pomknęła przez kolejną salę i już miała przejść łukowatym otworem w kamiennym murze, kiedy kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Wzdrygnęła się na widok czającej się w

cieniu postaci.

– Gwendolyn – powiedział łagodnym, zbyt wytwornym głosem, wychylając się z cienia z pełnym samozadowolenia uśmiechem na twarzy.

Zbita z tropu Gwendolyn zamrugała powiekami. Dopiero po chwili przypomniała sobie, kim jest. Tak wielu ludziom została ostatnimi czasy przedstawiona, że wszystko zacierało się jej w pamięci.

Lecz tej jednej twarzy nie mogła zapomnieć. Był to królewski syn, ten drugi bliźniak, ten z włosami, który opowiedział się przeciw niej.

– Jesteś synem króla – powiedziała na głos. – Trzecim co do starszeństwa.

Wyszczерzył zęby w chytrym uśmieszku, który w ogóle nie przypadł jej do gustu, po czym zrobił kolejny krok w jej kierunku.

– Tak naprawdę drugim – poprawił ją. – Jesteśmy bliźniętami, jednak ja pierwszy pojawiłem się na świecie.

Gwen przyjrzała się mu bacznie, kiedy ten podszedł o kolejny krok. Zauważyła, że jest nienagannie odziany i ogolony, na jego głowie piętrzy się koafiura i pachnie perfumami i wonnymi olejkami. Obnosił się z zadowoloną z siebie miną i zalatywał wręcz arogancją i wysokim mniemaniem o sobie.

– Nie chcę, by myślano o mnie, jak o bliźniaku – kontynuował. – Jestem panem samego siebie. Me imię Mardig. Tylko przez zrządzenie losu zostałem zrodzony bliźnięciem, na co akurat

wplywu nie miałem. Taka ot dola koronowanych głów, można by rzec – konkludował filozoficznie.

Gwen nie przypadło do gustu jego towarzystwo. Wciąż odczuwała niechęć z powodu jego zachowania ubiegłego wieczoru. Poczula, jak stojący u jej boku Krohn naprężył ciało i otarł się o jej nogę zjeżoną na karku sierścią. Sama poczuła zniecierpliwienie, pragnąc jak najszybciej dowiedzieć się, czego od niej chce.

– Zawsze skrywasz się w cieniu korytarzy? – spytała.

Mardig uśmiechnął się z wyższością i podszedł jeszcze bliżej, nieco za blisko w jej mniemaniu.

– Wszak to mój zamek – odparł zaborczo. – Jestem znany z tego, iż przechadzam się po nim dość często.

– Twój zamek? – spytała. – A nie twojego ojca?

Spochmurniał na twarzy.

– Wszystko w swoim czasie – odparł tajemniczo i zrobił kolejny krok.

Gwendolyn cofnęła się odruchowo, wiedzona niechęcią do jego bliskości. Krohn zaczął groźnie pomrukiwać.

Mardig spojrzał w dół na niego lekceważąco.

– Wiesz, że zwierzęta nie śpią na naszym zamku? – odrzekł.

Gwen zmarszczyła brwi z irytacji.

– Twój ojciec nie czynił z tego powodu wyrzutów.

– Mój ojciec nie egzekwuje prawa – odparł. – To moja rola. Królewskie straże również są pod moją komendą.

Kolejny raz zmarszczyła brwi, równie zdenerwowana.

– Czy to z tego powodu zatrzymałeś mnie tutaj? – spytała z rozdrażnieniem w głosie. – By wyegzekwować zakaz przebywania zwierząt?

Spojrzał na nią krzywo. Prawdopodobnie dotarło do niego, że napotkał godnego siebie przeciwnika. Spojrzał na nią, utkwiał wzrok w jej oczach, niejako oceniając ją po wyglądzie.

– W całej Grani nie masz niewiasty, która nie wzdychałaby do mnie – powiedział. – Pomimo to, w twych oczach nie dostrzegam namiętności,

Gwen zagapiła się na niego, zdjęta zgrozą, kiedy dotarło do niej, o co w tym wszystkim chodzi.

– Namiętności? – powtórzyła z zażenowaniem. – A z jakiego powodu? Jestem zameżna, a miłość mego życia wkrótce stanie z powrotem u mego boku.

Mardig roześmiał się na głos.

– Czyżby? – spytał. – Z tego, co słyszałem, dawno już jest martwy. Lub też tak dawno zaginął, że już do ciebie nie wróci.

Gwendolyn spojrzała na niego spode łba. Jej gniew wzrastał się z każdą chwilą.

– Nawet jeśli nie powróci – powiedziała – nigdy nie wybiorę innego. A już z pewnością nie ciebie.

Spochmurniał na twarzy.

Odwróciła się z zamiarem odejścia, jednak przytrzymał ją za rękę. Krohn warknął.

– Nie mam w zwyczaju prosić o to, czego chcę – powiedział.

– Po prostu to biorę. Jesteś w obcym królestwie, na łasce obcego gospodarza. Postąpisz mądrze, jeśli wyświadczysz grzeczność swoim zdobywcom. Wszak, gdyby nie nasza gościnność, zostałabyś porzucona na pustkowiu. Istnieje zaś wiele niefortunnych okoliczności, które mogą przypadkiem przytrafić się gościom – nawet u gospodarza pełnego dobrych chęci.

Spojrzała na niego z nachmurzoną miną. Widziała już w życiu zbyt wiele rzeczywistych zagrożeń, by lękać się jego błahych przestróg.

– Zdobywcom? – powiedziała. – A więc to tak nas traktujecie? Jestem wolną kobietą, jakbyś nie zauważył. Mogę odejść stąd choćby teraz, jeśli tego zechcę.

Roześmiał się, wydobywając z siebie paskudny dźwięk.

– I dokąd miałabyś pójść? Z powrotem na Pustkowie?

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Może i jesteś wolna, formalnie rzecz biorąc – dodał. – Ale pozwól, że zapytam: jeśli cały świat jest ci tak wrogi, to gdzie w nim twe miejsce?

Krohn warknął zjadliwie. Gwen wyczuła, że sposobi się do skoku. Z oburzeniem strzepnęła dłoń Mardiga z ramienia, sięgnęła w dół i położyła swoją na głowie Krohna, by go powstrzymać. I wówczas, kiedy spojrzała gniewnie na Mardiga, doznała nagłego olśnienia.

– Rzeknij mi coś, Mardigu – powiedziała twardym, zimnym głosem. – Z jakiego to powodu nie wyruszyłeś ze swymi braćmi,

dłaczego nie walczysz u ich boku na pustyni? Z jakiego to powodu jesteś jedyną osobą, która tu pozostała? Czy to strach tobą powoduje?

Uśmiechnął się, lecz pod przykrywką śmiechu wyczuła tchórzostwo.

– Rycerskość jest dla głupców – odparł. – Tych, którzy torują drogę, by innym z łatwością przychodziło to, czego pragną. Rzuć tylko słowem rycerskość, a dają się powodować niczym kukiełki. Mnie samego nie tak łatwo wykorzystać.

Spojrzała na niego z obrzydzeniem.

– Mój mąż i Srebrni wyśmiali by kogoś takiego, jak ty – powiedziała. – Nie przeżyłbyś dwóch minut w Kręgu.

Przesunęła wzrok z niego na wyjście, które sobą zastawił.

– Masz dwojaki wybór – powiedziała. – Możesz zejść mi z drogi, lub też ten oto Krohn pożre cię na śniadanie, którego tak bardzo się domaga. Sądzę, że jesteś idealnej postury.

Zerknął w dół na Krohna. Zauważyła, jak zadrżała mu warga. Przesunął się w bok.

Lecz ona nie ruszyła tak od razu. W zamian, podeszła bliżej, uśmiechając się szyderczo. Zamierzała dać mu dobitnie do słuchu.

– Może i dowodzisz swym małym zameczkiem – warknęła złowieszczo – lecz nie zapominaj, że przemawiasz do królowej. Wolnej królowej. Nigdy nie będę słuchać twoich poleceń, ani nikogo innego, jak długo żyję. Skończyłam z tym. Co czyni mnie bardzo groźną osobą – o wiele bardziej od ciebie.

Królewicz spojrzał na nią, po czym, ku jej zaskoczeniu, uśmiechnął się.

– Podobasz mi się, królowo Gwendolyn – odrzekł. – O wiele bardziej niż sądziłem.

Z sercem tłukącym się w piersi obserwowała, jak odwrócił się i odszedł, wpelzając z powrotem w mrok, znikając w korytarzu. Echo jego kroków wkrótce zamarło, a jej przyszło do głowy pytanie: jakie niebezpieczeństwa czyhają na nią w tym zamku?

ROZDZIAŁ TRZECI

Kendrick pędził przez suchy pustynny obszar z Brandtem i Atme u boku. Towarzyszyło im pół tuzina Srebrnych, pozostałości po braterstwie z Kręgu, jadąc razem jak za dawnych czasów. Zapuszczając się coraz dalej i dalej w Wielkie Pustkowia, Kendrick odczuwał coraz większy ciężar nostalgii i smutku; przypominały mu się najlepsze chwile spędzone w Kręgu, w otoczeniu Srebrnych, towarzyszy broni; wyprawy na bitwy wspólnie z tysiącami mężnych ludzi. Towarzyszyli mu najznakomitsi rycerze, jakich królestwo miało do zaoferowania, wojownicy lepsi jeden od drugiego, a wszędzie, gdzie zajechał, odzywały się trąby i lud gnał mu na powitanie. On i jego ludzie byli mile widziani wszędzie, gdzie zawitali i częstokroć biesiadowali do późna w nocy, snując wspomnienia z bitew, opowiadając o męstwie i waleczności, potyczkach z potworami, które wyłaniały się z Kanionu – lub gorzej, z Dzikich.

Kendrick zamrugał zakurzonymi oczami, otrząsnąwszy się ze swych rozmyślań. Nie te czasy i nie to miejsce. Rozejrzał się wokół i zobaczył ośmiu Srebrnych, a spodziewał się ujrzeć całe tysiące. Powoli rzeczywistość dotarła do jego świadomości. Uświadomił sobie, że ta ósemka stanowi wszystko, co pozostało i pojął, jak wiele uległo zmianie. Czy owe dni chwały kiedykolwiek powrócą?

Jego pojęcie o tym, co kształtuje prawdziwego wojownika,

zmieniło się w przeciągu ostatnich lat. Obecnie odnosił wrażenie, że prawdziwego wojownika cechują nie umiejętności, czy honor, a wytrwałość. Umiejętność parcia do przodu. Życie zaskakuje cię, piętrząc na twojej drodze wszelakie przeszkody, nieszczęścia, tragedie i straty – a przede wszystkim tak liczne zmiany; stracił więcej przyjaciół niż mógłby zliczyć, a króla, któremu poświęcił całe swe życie, nie było już nawet wśród żywych. Jego ojczyzna zniknęła. Mimo to on wciąż parł przed siebie, nawet wówczas, gdy nie widział żadnego sensu i powodu ku temu. Szukał go, dobrze o tym wiedział. I to właśnie ta zdolność uporczywego parcia dalej, być może ze wszech miar, kreowała wojownika, sprawiała, że człowiek wytrzymuje próbę czasu, kiedy tak wiele osób odpada. Właśnie to odróżniało prawdziwego wojownika od przygodnego wiarusa.

– PRZED NAMI ŚCIANA PIASKU! – dobiegł go czyjś krzyk.

Był to obcy mu głos, do którego wciąż jeszcze musiał się przyzwyczaić. Obejrzał się i zobaczył Koldo’ego, najstarszego syna króla. Jego czarna skóra wyróżniała się na tle reszty oddziału, który prowadził z Grani. W krótkim czasie, kiedy to miał z nim do czynienia, zdążył nabrać do niego szacunku. Obserwował, jak dowodzi ludźmi i jak oni traktują go z podziwem. Był rycerzem, przy którym Kendrick jechał z poczuciem dumy.

Koldo wskazał na horyzont. Kendrick ujrzał to, co Koldo mu pokazywał – a w zasadzie usłyszał to najpierw, zanim

zobaczył. Był to przenikliwy gwizd, niczym odgłos huraganu. Kendrickowi natychmiast przypomniła się przeprawa przez Pustkowie, jak taszczyli go półprzytomnego przez piaszczyste odludzie. Wspomnił rozszalały piaskowy żywioł, kłębiący się niczym tornado, które nigdy nie ustawało, wznosząc się pod niebo zbitą masą. Wyglądała na nieprzepuszczalną, niczym prawdziwy mur, który pomagał przesłonić Grań przed resztą Imperium.

Kiedy gwizd wzmógł się jeszcze bardziej, Kendrick wzdrygnął się na myśl o ponownym przejściu.

– CHUSTY! – rozkazał ktoś.

Kendrick ujrzał Ludviga, starszego z królewskich bliźniaków, który rozprostował długi, pleciony biały kawałek materiału i owinął sobie twarz. Po kolei, jeden za drugim, pozostali żołnierze wzięli z niego przykład i również zasłonili twarze.

Do Kendricka podjechał mężczyzna, który przedstawił mu się wcześniej jako Naten. Kendrick przypomniawszy sobie, że już wówczas niemal natychmiast poczuł do niego niechęć. Buntował się przeciw władzy powierzonej Kendrickowi przez króla i nie okazywał mu szacunku.

Naten uśmiechnął się do niego i jego ludzi z wyższością.

– Sądysz, że dowodzisz tą misją – powiedział – bo przydzielił ci ją król. Mimo to, nawet nie wiesz, jak osłonić swych ludzi przed Ścianą Piasku.

Kendrick spojrzał gniewnie na mężczyznę i dostrzegł w jego oczach niczym niesprowokowaną nienawiść. Najpierw przyszło

mu na myśl, że rycerz po prostu poczuł się zagrożony – lecz teraz pojął, że jest to człowiek, który uwielbia nienawidzić.

– Dajcie mu chusty! – wrzasnął Koldo do Nateny ze zniecierpliwieniem w głosie.

Po dłuższej chwili, kiedy przeszkoda znalazła się jeszcze bliżej, Naten wreszcie sięgnął w dół i rzucił Kendrickowi sakwę z chustami, uderzając go bezpardonowo w pierś.

– Rozdaj je swym ludziom – powiedział – albo dajcie się posiekać. Wasz wybór, mi wszystko jedno.

Naten odjechał, skręcając ku swoim, a Kendrick naprędce rozdał chusty, podjeżdżając do każdego ze swych rycerzy i wręczając im po jednej. Potem owinął sobie twarz i głowę, podobnie jak pozostali rycerze z Kręgu, aż poczuł się bezpieczny i wciąż mógł oddychać. Ledwie cokolwiek widział. Świat rozmył się, stał się niewyraźny.

Kendrick spał się, kiedy podjechali bliżej i dźwięk wirującego piasku stał się ogłuszający. Pozostało jeszcze pięćdziesiąt jardów, a już powietrze wypełniał odgłos siekącego o zbroję piasku. Chwilę później poczuł go.

Zanurzył się w Ścianie Piasku. Odniósł wrażenie, jakby pogrążył się w kipieli oceanu piasku. Hałas był tak wielki, że ledwie słyszał swe walące jak oszalałe serce. Piasek ogarnął każdą cząstkę jego ciała, wciskał się na siłę, chcąc rozerwać go na strzępy. Wirujący piach był tak gęsty, że nie dostrzegał nawet Brandta i Atme, którzy jechali kilka stóp obok niego.

– NIE ZATRZYMYWAĆ SIĘ! – zawołał do swych ludzi,

zastanawiając się, czy którykolwiek w ogóle go słyszał, dodając otuchy tyle sobie, co im. Konie rżały jak oszalałe, zwolniły i zaczęły dziwnie reagować. Kendrick spuścił wzrok i zauważył, że piach wdziera się w ich ślepia. Pogonił rumaka obcasami, modląc się, by ten nie zatrzymał się tu i teraz.

Napierał i brnął coraz dalej i dalej, myśląc, że nigdy nie będzie temu końca – aż wtem, wreszcie, z wdzięcznością, wynurzył się, wypadł po drugiej stronie wraz ze swymi ludźmi. Znaleźli się z powrotem na Wielkim Pustkowiu, gdzie powitało ich czyste niebo i pustka.. Oddalając się od Ściany Piasku poczuł, że stopniowo zelżał jej napór i z powrotem nastał spokój. Kendrick zauważył zaś, że ludzie z Grani przyglądają się mu i jego ludziom ze zdziwieniem.

– Myślałeś, że nie damy rady? – spytał Natena, który gapił się na niego z niedowierzaniem.

Naten wzruszył ramionami.

– I tak mnie to nie obchodzi – powiedział i odjechał ze swymi ludźmi.

Kendrick wymienił spojrzenia z Brandtem i Atme. Ich myśli znowu skupiły się na ludziach z Grani. Kendrick przeczuwał, że czeka ich długa i ciężka droga do zdobycia ich zaufania. Byli przecież obcymi im ludźmi, tymi, którzy pozostawili ten ślad i sprawili im przez to kłopot.

– Tam, dalej! – wrzasnął Koldo.

Kendrick podniósł wzrok i zobaczył na pustyni szlak pozostawiony przez siebie i pozostałych ludzi z Kręgu. Ujrzał

ślady swych stóp świetnie zachowane w piasku, prowadzące dalej ku horyzontowi.

Koldo zatrzymał się przy nich i zamilkł. Pozostali uczynili podobnie. Słysząc było jedynie ciężkie oddechy rumaków. Wszyscy przyglądali się bacznie śladom.

– Spodziewałbym się, że pustynia zatrze je za nami – powiedział zdumiony Kendrick.

Naten skwitował to szyderczym uśmieszkiem.

– Ta pustynia nie zaciera niczego. Nie pada tu—i wszystko zapamiętuje. Odciski waszych stóp mogłyby doprowadzić ich wprost do nas—i przyczynić się do upadku Grani.

– Przestań na niego naciskać – powiedział złowrogo Koldo do Nateny, surowym, pełnym autorytetu głosem.

Wszyscy odwrócili się i zauważyli, że podjechał bliżej. Kendricka ogarnęła wdzięczność.

– A czemuż to? – odparł Naten. – To ci ludzie zgotowali nam te kłopoty. Mógłbym teraz bezpiecznie siedzieć w Grani.

– Czyń tak dalej – powiedział Koldo – a od razu odeślę cię do domu. Zostaniesz odsunięty od tej misji i osobiście wyjaśnisz królowi, dlaczego wyznaczonego przez niego dowódcę nie miałeś w poszanowaniu.

Spokorniały wreszcie Naten spuścił wzrok i odjechał na drugi koniec oddziału.

Koldo obejrzał się na Kendricka, skinął głową z szacunkiem, jak przystało między dwoma dowódcami.

– Proszę o wybaczenie niesubordynacji mych ludzi –

powiedział. – Jak zapewne wiesz, dowódca nie zawsze może odpowiadać za wszystkich podkomendnych.

Kendrick przytaknął z szacunkiem, obdarzając Koldo nieodczuwanym dotąd podziwem.

– Zatem to są ślady twoich ludzi? – spytał Koldo, spoglądając w dół.

Kendrick skinął głową.

– Najwyraźniej.

Koldo westchnął, wykręcił i pojechał za śladami.

– Podążymy do ich kresu – powiedział. – Kiedy dojedziemy na koniec, wrócimy po nich i zatrzymamy.

Kendrick spojrzał na niego zaintrygowany.

– Nie pozostawimy w ten sposób nowych śladów, tym razem za naszym oddziałem?

Koldo wskazał coś gestem i Kendrick podążył za jego spojrzeniem. Zauważył przytroczone do zadów wierzchowców liczne przyrządy, wyglądem przypominające grabie.

– Zamiatarki – wyjaśnił Ludvig, podjeżdżając do Koldo. – Zatrą za nami ślady podczas powrotnej jazdy.

Koldo uśmiechnął się.

– To oto czyniło Grań niewidzialną dla naszych wrogów przez całe stulecia.

Kendrick był pełen podziwu dla pomysłowych urządzeń. Rozległ się okrzyk i wszyscy pognali kuksańcami swe rumaki wzdłuż szlaku, galopując przez pustynię z powrotem na Pustkowie, w stronę horyzontu nicości. Wbrew sobie, Kendrick

obejrzał się do tyłu, zerknął ostatni raz na Piaskową Ścianę i z jakiegoś powodu ogarnęło go przeczucie, że już nigdy tu nie wróci.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Erec stał na dziobie swego okrętu razem z Alistair i Stromem. Patrzył na zwążającą się coraz bardziej rzekę z obawą. Tuż za nim podążała jego niewielka flotylla, to, co pozostało z wyprawy, która wyruszyła z Wysp Południowych. Meandrowali teraz w górę bezkresnej rzeki, zapuszczając się coraz głębiej na terytorium Imperium. W niektórych miejscach rzeka była szeroka jak ocean, jej brzegi znikwały z pola widzenia i woda stawała się niemal przeźroczysta; obecnie jednak Erec zauważył, że na horyzoncie zwąża się, tworząc ciasny przesmyk, szeroki być może na dwadzieścia jardów, a jej wody mętnieją.

Wytrawny żołnierz w Ereku miał się na baczności. Nie przepadał za zamkniętymi przestrzeniami, zwłaszcza kiedy dowodził ludźmi, a zwążająca się rzeka narażała jego flotyllę na atak z zasadzki i dobrze o tym wiedział. Zerknął przez ramię za siebie i nie dostrzegł żadnych oznak licznej floty Imperium, której wymknęli się na morzu; nie oznaczało to jednak, że jej tam gdzieś nie ma. Wiedział, że nie zaniechają pościgu dopóki go nie znajdą.

Z dłońmi na biodrach odwrócił się i zmrużył oczy, wpatrując się w opustoszałe brzegi Imperium. Rozciągały się w nieskończoność połaciami suchego piachu i twardej skały, pozbawione wszelakich drzew, jakichkolwiek oznak cywilizacji. Przeczesał wzrokiem brzegi rzeki i z poczuciem wielkiej ulgi

stwierdził, że przynajmniej nie widać żadnych fortów, czy zastępów Imperium rozlokowanych wzdłuż rzeki. Pragnął jak najszybciej przeprowadzić swą flotyllę w górę rzeki, dotrzeć do Volusii, odszukać Gwendolyn i pozostałych, wyzwolić ich i wynieść się stąd czym prędzej. Zamierzał zabrać ich z powrotem przez morze na Wyspy Południowe, gdzie mógłby podjąć się ich ochrony. Nie chciał, by cokolwiek po drodze zakłóciło przebieg wydarzeń.

Jednakże, z drugiej strony, ta złowieszcza cisza i opustoszały krajobraz również przysparzały mu zmartwienia: zastanawiał się, czy aby Imperium nie czyha gdzieś tam, czekając, aż wpadną w jego zasadzkę.

Wiedział również, że istnieje większe zagrożenie niż ewentualny atak ze strony wroga, a była nim śmierć głodowa. Brak stawy stawał się coraz większym powodem jego troski. Przemierzali ziemie, które nade wszystko przypominały pustynne pustkowia, a ich zapasy niemal się wyczerpały. Stojąc na pokładzie, Erec czuł, jak burczy mu w brzuchu. Nazbyt długo już ograniczałienne racje sobie i pozostałym do jednego posiłku. Wiedział dobrze, że będą mieć o wiele większe kłopoty, jeżeli wkrótce nie trafi im się w okolicy jakieś trofeum. Czy ta rzeka nigdy się nie skończy? – przyszło mu na myśl. A co będzie, jak nigdy nie znajdą Volusii?

Co gorsza: co zrobi, jeżeli nie będzie już tam Gwendolyn i pozostałych? Jeżeli będą martwi?

– Jeszcze jedna! – zawołał Strom.

Erec odwrócił się i ujrzał jednego ze swych ludzi, który właśnie poderwał wędkę z jaskrawożółtą rybą i rzucił ją na pokład. Marynarz przystanął na ciskającej się na boki rybie, natomiast pozostali otoczyli go i spojrzeli na zdobycz. Pokręcił głową z rozczarowaną miną: dwie głowy. Była to kolejna z trujących ryb, które zdawały się obfitować w wodach tej rzeki.

– Rzeka jest przeklęta – powiedział jeden z jego ludzi, zarzucając wędkę jeszcze raz.

Erec wrócił do relingu i przyjrzał się im zawiedziony. Wyczuł czyjąś obecność i odwrócił się. Zauważył, iż podszedł do niego Strom.

– A jeśli ta rzeka nie zaprowadzi nas do Volusii? – spytał.

Erec dostrzegł na jego twarzy niepokój, który sam podzielał.

– Gdzieś nas doprowadzi – odparł Erec. – Wiedzie nas na północ. Jeśli nie do Volusii, to zejdziemy na ląd i na piechotę wywalczymy sobie drogę.

– Porzucimy zatem nasze okręty? W jaki sposób później stąd umkniemy? Jak wrócimy na Wyspy Południowe?

Erec pokręcił głową powoli i westchnął.

– Może nie wrócimy – odpowiedział szczerze. – Każda wyprawa w imię honoru niesie ze sobą zagrożenie. Czy powstrzymało cię to kiedyś, albo mnie?

Strom zwrócił się w jego kierunku i uśmiechnął.

– Po to właśnie żyjemy – odrzekł.

Erec skwitował to uśmiechem, po czym odwrócił się do Alistair, która podeszła do niego z drugiej strony. Przytrzymała

się relingu i wyrzwała na rzekę, która z każdą chwilą stawiała się coraz węższa. Patrzyła szklistym, nieobecnym wzrokiem. Erec wyczuł, iż tkwi pogrążona w swoim świecie. Zauważył, że zaszła w niej jeszcze jedna zmiana—lecz nie był pewien, co to takiego, jakby miała przed nim jakąś tajemnicę. Pragnął ze wszech miar zapytać ją, lecz nie chciał być wścibski.

Rozbrzmiał chór rogów i zaskoczony tym Erec obejrzał się. Serce ścisnęło mu się na widok tego, co przed nim zamajaczyło.

– SZYBKO NADCIĄGA! – ryknął marynarz z gniazda osadzonego wysoko na maszcie. Wskazywał kierunek jak opętany. – FLOTA IMPERIUM!

Erec przebiegł po pokładzie z powrotem na rufę. Strom ruszył tuż za nim, mijając po drodze swych ludzi, którzy już sposobili się do bitwy, dobywając mieczy, przygotowując łuki i nastawiając się psychicznie na to, co ich czeka.

Erec dotarł na rufę, chwycił reling i wyrzwał w dal. Zobaczył, że to prawda: zza zakrętu, ledwie kilkaset jardów dalej, wyłaniał się rząd imperialnych okrętów, połyskując czarno złotymi żaglami.

– Musieli znaleźć nasz ślad – powiedział stojący obok Strom. Erek pokręcił głową.

– Płynęli za nami przez ten cały czas – powiedział, zdając sobie jednocześnie z tego sprawę. – Czekali tylko, żeby się nam pokazać.

– Czekali na co? – spytał Strom.

Erec odwrócił się i rzucił okiem przez ramię, w górę rzeki.

– Na to – powiedział.

Strom odwrócił się i przyjrzał uważnie zważającemu się przesmykowi.

– Czekali, aż znajdziemy się w najwęższej części rzeki – powiedział Erec. – Czekali, aż będziemy zmuszeni przepłynąć w jednym rzędzie i zapuścimy się zbyt daleko, by zawrócić. Mają nas dokładnie tam, gdzie chcą.

Erec spojrział na flotę i poczuł, jak niesamowicie wyostrzyła się mu perspektywa, jak zwykle z resztą, kiedy dowodził ludźmi i znalazł się w krytycznej sytuacji. Poczuł, jak zadziałał jeszcze jeden zmysł i jak zwykle w takich okolicznościach, nagle do głowy przysłała mu pewna myśl.

Zwrócił się do brata.

– Obsadź ten okręt przy nas – rozkazał. – Zajmij pozycję na krańcu naszej flotylli. Niech wszyscy zejda z niego – niech wsiada na płynący obok. Rozumiesz? Niech wszyscy go opuszczą. Potem sam go opuść, jako ostatni.

Strom spojrział na niego z konsternacją.

– Kiedy będzie pusty? – powtórzył niczym echo. – Nie pojmuję.

– Zamierzam go zniszczyć.

– Zniszczyć? – spytał osłupiały Strom.

Erec przytaknął skinieniem głowy.

– W najważszym punkcie, tam, gdzie brzegi rzeki niemal stykają się ze sobą, przewrócisz statek na bok i porzucisz go. Okręt zaklinuje się i stworzy tamę, której nam trzeba, Nikt nie

będzie w stanie za nami podążyć. A teraz już idź! – huknął Erec.

Strom ruszył z miejsca wykonać rozkazy brata. Trzeba mu to przyznać – zrobił to pomimo tego, czy zgadzał się z nimi, czy też nie. Erec ustawił okręty wzdłuż burty i Strom przeskoczył z jednego relingu na drugi. Kiedy wylądował na pokładzie, zaczął wrzaskiem wydawać rozkazy i cała załoga skoczyła na nogi, a potem, jeden żołnierz po drugim, przeskoczyli na okręt Ereka.

Erec zauważył z niepokojem, jak obydwie statki odsuwają się od siebie.

– Chwytać za liny! – zawołał do swych ludzi. – Użyjcie haków —nie pozwólcie mu odpłynąć!

Wykonali jego rozkaz. Podbiegli do burty z bosakami w dłoniach i cisnęli je w powietrze. Haki zaczepiły o płynący obok okręt i ludzie Ereka pociągnęli za nie ze wszystkich sił, powstrzymując odsuwanie się statków. Przyspieszyli też w ten sposób całą operację. Tuziny pozostałych ludzi przeskoczyły przez relingi, zabierając ze sobą w pośpiechu broń i opuszczając statek.

Strom wrzasnął rozkaz ponownie, upewniając się, czy wszyscy opuścili okręt i popędzając ich do chwili, kiedy na pokładzie nie było już nikogo.

Strom zauważył przyglądającego się mu z aprobatą Ereka.

– A co z zapasami? – huknął Strom, przekrzykując ogólny zgiełk. – I dodatkową bronią?

Erek pokręcił głową.

– Zostaw – odkrzyknął. – Zajmij ostatnią pozycję i zniszcz

statek.

Erec odwrócił się i pobiegł na dziób, prowadząc swą flotyllę, która ustawiła się za nim, kiedy wpłynęli w zwężenie.

– JEDEN ZA DRUGIM!

Okręty popłynęły za nim wprost ku najwęższemu odcinkowi rzeki. Erec przepłynął przez przesmyk z całą flotyllą, po czym zerknął za siebie i zauważył szybko nadciągające okręty Imperium. Znajdowały się zaledwie sto jardów dalej. Widział, jak liczące setki ludzi oddziały Imperium ustawiają się na dziobach i przygotowują strzały, zapalając ich groty. Wiedział, że są już prawie w zasięgu; nie pozostało wiele czasu.

– TERAŻ! – wrzasnął do Stroma, kiedy jego okręt, ostatni z całej flotylli, wpłynął w przewężenie.

Strom, obserwujący go i czekający na znak, uniósł miecz i przeciął połowę lin przytrzymujących statek przy okręcie Ereka i, jednocześnie, przeskoczył na okręt brata. Rozciął je akurat w chwili, kiedy okręt wpłynął w przewężenie, skutkiem czego jednostka natychmiast zmieniła kierunek, pozbawiona sterowania.

– OBRÓCIĆ GO! – rozkazał Erec.

Wszyscy chwycili za liny trzymające drugą stronę burty i pociągnęli z całych sił, walcząc do chwili aż okręt, skrzypiąc na znak protestu, obrócił się z wolna w poprzek rzecznoego nurtu. Wartki prąd poniósł kadłub ze sobą i osadził na kamienistym dnie, wcisnął między oba brzegi. Drewniane poszycie odezwało się jękiem i zaczęło pękać.

– CIĄGNIJCIE MOCNIEJ! – wrzasnął Erec.

Szarpali coraz mocniej i mocniej. Erec sam podbiegł i dołączył do nich. Wszyscy razem ciągnęli co sił, jęcząc z wysiłku. Powoli statek zaczął przewracać się na bok, trzymany na uwięzi, i coraz bardziej klinować się w skalnym uścisku.

Kiedy znieruchomiał, całkiem zablokowany, Erec odetchnął z zadowoleniem.

– ODCIĄĆ LINY! – wrzasnął, wiedząc, że nie zostało mu wiele czasu, jako że i jego statek zaczął poddawać się pod naporem wody.

Ludzie Ereka odcięli pozostałe liny, uwalniając własny okręt —rychło w czas.

Porzucony okręt zaczął pękać, przechylać się, szczelnie blokując swymi szczątkami rzekę—a po chwili niebo przykryła czern. Na flotyllę Ereka poleciała salwa gorejących imperialnych strzał.

Erec zdołał wyprowadzić ludzi na bezpieczną odległość w samą porę: strzały wylądowały na wraku, w odległości dwudziestu stóp od okrętu Ereka i jedynie zaproszyły ogień, czego skutkiem była kolejna przeszkoda na drodze między nimi a Imperium. Rzeka stała się teraz nieżeglowna.

– Postawić wszystkie żagle! – wrzasnął Erec.

Flotylla ruszyła na pełnej prędkości i, korzystając z pomyślnego wiatru, oddaliła się od blokady, płynąc coraz dalej na północ, unikając zagrożenia w postaci imperialnych strzał. W powietrze wzniosła się kolejna salwa, jednak wszystkie

wylądowały w wodzie z głośnym sykiem i pluskiem.

Płynęli dalej. Erec stał na dziobie i obserwował otoczenie. Obejrzał się na flotę Imperium i z wielkim zadowoleniem stwierdził, że zatrzymała się przed płonącym okrętem. Jeden ze statków Imperium podpłynął nieustraszenie i spróbował go staranować—lecz jedyną rzeczą, którą przez to osiągnął, było zaproszenie ognia u siebie; setki żołnierzy Imperium wydało okrzyk, kiedy pochłonięci płomieniami zaczęli wyskakiwać za burtę do wody – a ich płonący okręt tylko powiększył dzieło zniszczenia. Widząc to, Erec doszedł do wniosku, że Imperium nie będzie w stanie przedrzeć się przez nie przez następne kilka dni.

Czyjaś silna dłoń ścisnęła mu ramię. Obejrzał się i zobaczył Stroma, który stał przy nim i uśmiechał się.

– Jedna z twoich bardziej natchnionych strategii – powiedział.

Erec uśmiechnął się w odpowiedzi.

– No, nieźle – odparł.

Erec odwrócił się i spojrzał w górę rzeki. Jej bieg obfitował niezliczonymi zakolami, które jakoś nie napawały go otuchą. Wygrali tę bitwę—lecz kto wie, jakie jeszcze czekają ich przeszkody?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Volusia, odziana w złote szaty, stała wysoko na podium, spoglądając w dół, na setkę złotych schodów, które wzniosła na swoją cześć. Wyciągnawszy ramiona, napawała się chwilą. Jak daleko okiem sięgnąć, ulice stolicy wypełniały liczne tłumy gawiedzi, obywateli Imperium, jej żołnierze, jej nowi wyznawcy. Wszyscy składali jej niskie pokłony, bili czołem o ziemię przy świetle wczesnego brzasku. Skandowali na jej cześć, wznosząc monotonny, delikatny śpiew, uczestnicząc w porannym ceremoniale, który sama powołała do życia, a który egzekwowali jej ministrowie i dowódcy, pozostawiając wybór: oddaj cześć lub gotuj się na śmierć. Wiedziała, że wielbią ją, gdyż są do tego zmuszeni – wkrótce jednak mieli to czynić, gdyż nie będą widzieć świata poza nią.

– Volusia, Volusia, Volusia – skandowali. – Bogini słońca i bogini gwiazd. Matko oceanów i zwiastunie słońca.

Volusia rozejrzała się z podziwem po swym nowym mieście. Wszędzie widniały jej złote posągi, które wzniesiono na jej rozkaz. Każdy zakątek stolicy posiadał jeden taki posąg – błyszczący złotem. Wszędzie, gdziekolwiek zwrócić wzrok, czy tego ktoś chciał, czy nie, widać było jej podobiznę, do której należało wznosić modły.

Nareszcie była w pełni usatysfakcjonowana. Nareszcie była boginią, jaką było jej pisane zostać.

Powietrze wypełniły śpiewne modły, jak również woń kadzideł palonych na każdym ołtarzu ku jej czci. Na ulice wylegli mężczyźni, kobiety i dzieci, stając ramie przy ramieniu i pochylając się w pokłonie. Ona zaś czuła, że na to zasługuje. Przebycie tej całej drogi, by tu dotrzeć nie należało do lekkich czy przyjemnych, a jednak przyszła do stolicy na własnych nogach, zdołała przejąć ją i zniszczyć imperialne wojska, które stawiały jej opór. Teraz, w końcu, stolica należała do niej.

Imperium należało do niej.

Jej doradcy byli oczywiście innego zdania, jednak Volusii nie obchodziło, co sądzą. Była niezwyciężona. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Była gdzieś pomiędzy niebem a ziemią i żadna siła z tego świata nie była w stanie jej unicestwić. Nie tyle kuliła się ze strachu – co wiedziała, że to dopiero początek. Pragnęła większej władzy. Mimo tego, co już osiągnęła. Zamierzała odwiedzić każdy róg i kolec Imperium i rozgnieść na miazgę każdego, kto się jej sprzeciwi, kto nie uzna jej władzy absolutnej. Zgromadzi większą armię, liczniejszą i potężniejszą, aż wszystkie zakątki Imperium podporządkują się jej woli.

Była gotowa rozpocząć nowy dzień. Powoli zeszła z podwyższenia, stawiając kroki na każdym ze złotych stopni po kolei. Wyciągnęła dłonie i kiedy wszyscy rzucili się w jej stronę, dotknęła ich rąk, tłumów wyznawców, którzy przyjęli ją, jak swoją, jak żyjącą pośród nich boginię. Niektórzy z nich upadli z płaczem na twarze, a jeszcze inni utworzyli ze swych ciał żywy

most, pragnąc, by po nich przeszła. Uczyniła to, krocząc po ich miękkich plecach.

Wreszcie miała swe stado. Teraz przyszła pora wyruszyć na wojnę.

*

Stała wysoko na blankach otaczających stolicę Imperium i spoglądała na pustynne niebo z silnym przeświadczeniem o spełniającym się przeznaczeniu. Widziała jedynie bezgłowe zwłoki, ludzi, których zabiła – i niebo pełne sępów, które opadały na ziemię raz po raz i rozszarpywały ciała poległych. Za murami miasta powiewał lekki wiatr, dzięki czemu poczuła dojmujący odór gnijących już ciał. Uśmiechnęła się szeroko na myśl o jatce. Ludzie ci śmieli przeciwstawić się jej – i zapłacili za to cenę.

– Bogini, czy nie powinniśmy pogrzebać zmarłych? – dobiegł ją czyjś głos.

Obejrzała się i zobaczyła Rory’ego, dowódcę sił zbrojnych, człowieka wysokiego i barczystego, o wyrazistym podbródku i zdumiewająco zachwycającym wyglądzie. Wybrała go, wyniosła ponad pozostałych generałów, ponieważ był miły dla oka – a nawet bardziej, jako że był błyskotliwym dowódcą i pragnął wygrać za wszelką cenę – dokładnie tak jak ona.

– Nie – odparła, nie patrząc na niego. – Chcę, by gnili pod słońcem, by zwierzyna obżerała się ich ciałami. Chcę, by

wszyscy wiedzieli, jaki los czeka tych, którzy sprzeciwia się bogini Volusii.

Mężczyzna ogarnął wzrokiem widok poniżej i wzdrygnął się z obrzydzenia.

– Wedle życzenia, bogini – odparł.

Volusia przeczesła wzrokiem horyzont. W tej samej chwili dołączył do niej Koolian, jej czarnoksiężnik w czarnym kapturze i pelerynie, z błyszczącymi zielonymi oczyma i twarzą poraną brodawkami, stwór, który dopomógł jej przeprowadzić zamach na życie jej matki – i jeden z nielicznych członków jej świty, któremu nadal ufała. On również przyjrzał się linii horyzontu.

– Wiesz, że są tam, niedaleko – wspomniał. – Że przyjdą po ciebie. Wyczuwam ich nawet w tej chwili.

Zignorowała go i spojrzała wprost przed siebie.

– Ja również – powiedziała wreszcie,

– Rycerze Siódemki są bardzo potężni, ma bogini – powiedział Koolian. – Podróżują z zastępem czarnoksiężników —z armią, której nawet ty nie zdołasz pokonać.

– Nie zapomnij też o ludziach Romulusa – dodał Rory. – Szerzą się pogłoski, że znajduje się niedaleko naszych brzegów, że powrócił z Kręgu wraz ze swą milionową armią.

Volusia patrzyła przed siebie przez dłuższą chwilę, kiedy to nastąpiła pełna napięcia cisza. Jedynie wiatr zakłócał ją wyciem.

Wreszcie, Rory stwierdził:

– Wiesz, że nie zdołamy utrzymać tego miejsca. Pozostanie tutaj oznacza śmierć nas wszystkich. Bogini, co rozkażesz?

Mamy umykać ze stolicy? Poddać się?

Volusia odwróciła się w końcu do niego i uśmiechnęła.

– Będziemy ucztować – powiedziała.

– Ucztować? – spytał zszokowany.

– Owszem, ucztować – powiedziała. – Do samego końca.

Umocnić miejskie bramy i otworzyć wielką arenę. Ogłaszam studniowe uczty i zabawy. Może czeka nas śmierć – konkludowała radośnie – lecz odejdziemy z uśmiechem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Godfrey pędził ulicami Volusii wraz z Ario, Merekiem, Akorthem i Fultonem, pragnąc jak najszybciej dotrzeć do bram miasta, zanim będzie za późno. Wciąż rozpierała go radość z powodu sabotażu, którego dopuścili się na arenie, zdoławszy otruć słonia, znaleźć Draya i wypuścić go na pole walki akurat wówczas, gdy Darius potrzebował go najbardziej. Dzięki jego pomocy, jak również tej Finiance, Silis, Darius zwyciężył; ocalił życie przyjaciela, przez co zmył z siebie w niewielkiej części winę za zwabienie druha w pułapkę na ulicach Volusii. Rolą Godfreya było oczywiście czynić swoje w cieniu, w czym był najlepszy. Darius natomiast nie stałby się zwycięzcą, gdyby nie jego męstwo i mistrzowska walka. Jednakowoż, Godfrey miał w tym swój niewielki udział.

Teraz jednak wszystko szło w złą stronę; Godfrey spodziewał się, że po walce będzie mógł spotkać Dariusza przy bramie wyjściowej z areny i zdoła go oswobodzić. Nie przewidział, że Darius zostanie wyprowadzony tylnym wyjściem i pod eskortą opuści miasto. Po tym, jak wygrał, imperialne tłumy zaczęły skandować jego imię i nadzorcy Imperium poczuli się zagrożeni jego nieoczekiwaną sławą. Stworzyli bohatera. Postanowili wyprowadzić go z miasta i jak najszybciej przetransportować na arenę w stolicy, zanim wybuchnie rewolta.

Godfrey biegł z innymi, pragnąc ich dogonić, dotrzeć do

Dariusa zanim opuści miasto i będzie za późno. Droga do stolicy Imperium była długa, pełna trudów, wiodła przez Pustkowie i strzegły jej zbrojne oddziały; jeśli opuści miasto, nie będą mu w stanie pomóc w żaden sposób. Musiał go ocalić. W innym razie wszelki jego trud okazałby się daremny.

Mknął ulicami, dysząc ciężko. Merek i Alto pomagali Akorthowi i Fultonowi, którzy również ledwie zipali, goniąc za swymi wielkimi brzuchami.

– Nie zatrzymuj się! – Merek zachęcał Fultona, który uwieszał się mu na ramieniu. Ario po prostu zdzielił Akortha łokciem w plecy, wydobywając z niego jęk i popędzając, kiedy zaczął zwalniać.

Godfrey czuł, jak pot leje mu się z czoła. Przeklął sam siebie, po raz wtóry, za wypicie tak wielu kwart piwa. Przyszedł mu jednak na myśl Darius i zmusił swe obolałe nogi, by nie przestały przebierać, pędzić jedną ulicą za drugą, aż wreszcie wynurzyli się wszyscy z długiego, kamiennego, zwieńczonego łukiem przejścia wprost na miejski plac. Wówczas to dostrzegli w oddali, po drugiej stronie placu, jakieś sto jardów dalej, miejską bramę. Była imponująca. Pięła się na pięćdziesiąt stóp w górę. Godfrey obrzucił ją wzrokiem i serce mu stanęło. Kraty były wciąż szeroko otwarte.

– NIE! – zawołał odruchowo.

Spanikował na widok powozu Dariusza. Zaprzężony do rumaków, strzeżony przez imperialnych żołnierzy i opasany żelaznymi kratami – niczym klatka na kołach – wyjeżdżał

właśnie przez otwartą bramę.

Godfrey przyspieszył, pobiegł szybciej niżby mógł o to siebie podejrzewać, potykając się co rusz o własne nogi.

– Nie zdążymy – powiedział Merek, przemawiając głosem rozsądku i położył mu dłoń na ramieniu.

Godfrey strząsnął ją z siebie i pobiegł dalej. Wiedział, że sprawa jest beznadziejna – powóz znajdował się zbyt daleko, był zbyt dobrze strzeżony i okratowany – a mimo to biegł dalej, aż w końcu nie wytrzymał.

Zatrzymał się na środku placu. Merek położył mu dłoń na ramieniu i przytrzymał w miejscu. Pochylił się i westchnął głęboko, składając dłonie na kolana.

– Nie możemy go puścić! – wrzasnął Godfrey.

Ario podszedł do niego i pokręcił głową.

– Już odjechał – powiedział. – Ocal siebie. Czekamy nas jeszcze niejedna walka.

– Odzyskamy go w inny sposób – dodał Merek.

– Jak!? – rozpaczliwie błagał Godfrey.

Żaden z nich nie znał odpowiedzi. Stali i patrzyli, jak żelazne wrota zamykają się za Dariusem z hukiem, jakby to jego dusza odchodziła na zatracenie.

Brama zasłoniła powóz Dariusa, który odjechał daleko na pustynię, powiększając odległość od Volusii. Wzbijane przez wierzchowce kłęby kurzu rosły coraz wyżej, aż wkrótce całkowicie przesłoniły ich widok. Serce pękło Godfreyowi na myśl, że zawiódł ostatnią osobę, jaka pozostała z całej armii oraz

stracił jedyną nadzieję na odkupienie.

Ciszę przerwało szaleńcze ujadanie jakiegoś psa. Godfrey spuścił wzrok i dostrzegł nadbiegającego miejską alejką Draya. Szczekał i warczał jak opętany, pędząc przez dziedziniec w ślad za swym panem. On również rozpaczliwie pragnął uratować Dariusza, a kiedy dotarł do wielkich żelaznych wrót bramy, skoczył w powietrze, rzucił się na nie i począł gryźć je bezowocnie.

Godfrey był przerażony, kiedy żołnierze stojący na straży przy bramie zauważyli Draya i dali sobie sygnał. Jeden dobył miecza i zbliżył się do psa, najwyraźniej gotując się, by go zarżnąć.

Godfrey nie wiedział, co go owładnęło, ale coś nagle w nim pękło. Miał już tego po prostu dość, zbyt wiele niegodziwości musiał jak dotąd znieść. Nie był w stanie ocalić Dariusza, ale przynajmniej musiał uratować jego ukochanego czworonoga.

Usłyszał swój własny okrzyk, po czym poczuł, jak biegnie przed siebie, jakby nie był sobą. Niczym w nierzeczywistym śnie, dobył krótki miecz i natarł na niczego niespodziewającego się wartownika. Kiedy mężczyzna odwrócił się, zobaczył, jak Godfrey wbija mu ostrze w serce.

Ogromny żołnierz Imperium spojrzał na niego z niedowierzaniem, szeroko otwartymi oczyma, stojąc w miejscu jak sparaliżowany. Potem padł na ziemię martwy.

Godfrey usłyszał krzyki i zauważył pozostałych dwóch wartowników, którzy runęli w jego kierunku. Wzniesli przeciw niemu swój groźny oręż. Wiedział, że nie może równać się z

nimi. Umrze tu, przy tej bramie, ale przynajmniej zginie ze szlachetnych pobudek.

Powietrze przeszło przeraźliwe warczenie. Godfrey dostrzegł kątem oka, jak Dray odwrócił się, runął przed siebie i skoczył na górującego nad Godfreyem strażnika. Zatopił mu kły w gardle i przygwoździł do ziemi, kłusząc mężczyznę dopóki ten nie znieruchomiał.

W tej samej chwili Merek i Ario rzucili się ze swymi krótkimi mieczami na drugiego strażnika, który podszedł Godfreya od tyłu. Zakłuli go, zanim zdążył wykończyć Godfreya.

Zastygli w milczeniu. Godfrey rozejrzał się wokół. Był zaszokowany masakrą, jakiej właśnie się dopuścił, zaszokowany faktem, iż zdobył się na takie męstwo. Dray podbiegł do niego i polizał go po dłoni.

– Nie sądziłem, że stać cię na coś takiego – rzekł Merek z podziwem.

Godfrey stał jedynie, zdumiony bez reszty.

– Sam nie pojmuję do końca, co uczyniłem – powiedział poważnym tonem, pamiętając wszystko jak przez mgłę. Nie zamierzał podejmować działania – po prostu to zrobił. Czy to też czyni go mężnym? pomyślał.

Akorth i Fulton rozglądali się na boki z przerażonymi minami, wypatrując jakichkolwiek oznak imperialnych żołnierzy.

– Musimy stąd smykać! – wrzasnął Akorth. – Natychmiast!

Godfrey poczuł, jak chwytają go dłonie i unoszą w dal. Odwrócił się i pobiegł z innymi. Dray podążył w ślad za nimi.

Pozostawili bramę za sobą i ruszyli z powrotem do Volusii. I sam Bóg raczył wiedzieć, co zgotować miał im los.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Darius siedział wsparty o żelazne kraty, w kajdanach spinających mu nadgarstki i stopy długim, ciężkim łańcuchem. Jego ciało pokrywały rany i stłuczenia. Czuł się jakby ważył milion funtów. Wyjrzał między kraty na pustynny nieboskłon, który podskakiwał co rusz wraz z powozem pokonującym wyboistą drogę. Odczuwał bolesną samotność. Przemierzali bezkresne, jałowe tereny, nic tylko pustkowia jak okiem sięgnąć. Wyglądało to tak, jakby świat dopadł kres.

Powóz był przesłonięty, jednakże przez kraty sączyło się słoneczne światło i Darius czuł, jak uciążliwy pustynny żar tężał falami. Wyciskał z niego poty, mimo, iż Darius siedział w cieniu, przysparzając mu jedynie większej niewygody.

Dariusowi było jednak wszystko jedno. Całe ciało paliło go żywym ogniem. Od stóp po głowę pokryte było guzami. Nie był w stanie poruszać kończynami wycieńczonymi po nieskończone długich dniach walki na arenie. Nie mogąc zasnąć, zamknął oczy i spróbował przegonić wspomnienia, jednak za każdym razem widział umierających przy nim przyjaciół, Desmonda, Raja, Luzzi'ego i Kaza. Każdy zginął tragiczną śmiercią, wszyscy ponieśli śmierć tylko po to, by on przeżył.

Był zwycięzcą, osiągnął to, co niemożliwe –a jednak tak niewiele to teraz dla niego znaczyło. Wiedział, że śmierć nadchodzi; wszak w nagrodę miał zostać przetransportowany

do stolicy Imperium, zapewnić widowisko na jeszcze większej arenie, dostarczyć rozrywki jeszcze gorszemu wrogowi. Nagrodą za wszystko, za niezwykle akty męstwa, była śmierć.

Wolał umrzeć od razu, tu na miejscu, zamiast ponownie przechodzić przez to jeszcze raz. Ale nawet to nie zależało od niego; był zakuty w kajdany, bezradny. Jak długo jeszcze musiał znosić te tortury? Czy będzie zmuszony patrzeć jak wszystko, co mu drogie na tym świecie umiera zanim sam odejdzie?

Zamknął oczy ponownie, starając się rozpaczliwie wymazać wspomnienia z pamięci i właśnie wówczas nawiedziło go jedno z wczesnego dzieciństwa. Bawił się przed chatą dziadka, w ziemi, dzierżąc drzewce. Uderzał nim w drzewo, raz i drugi, aż dziadek wyrwał mu je z rąk.

– Nie baw się patykami – zrugął go. – Chcesz przyciągnąć uwagę Imperium? Chcesz, by mieli cię za wojownika?

Dziadek złamał drzewce o kolano, a Darius obruszył się z oburzeniem. Ten patyk był dla niego czymś znacznie więcej: był jego wszechmocną laską, jedynym orężem w jego posiadaniu. Ta laska była dla niego wszystkim.

Tak, chcę, by mieli mnie za wojownika. Chcę, by traktowali mnie tylko w ten sposób, pomyślał.

Kiedy jednak dziadek odwrócił się i ruszył żwawo w swoją stronę, Darius był zbyt przestraszony, by wymówić te słowa na głos.

Podniósł złamany kij i przytrzymał jego części w dłoniach. Po policzku spłynęły mu łzy. Pewnego dnia, przysiękł sobie, zemści

się za wszystko – takie życie, jego wioskę, sytuację, Imperium, wszystko to, czego nie mógł kontrolować.

Zmiażdży ich wszystkich. I zyska sławę jako nie kto inny, tylko wojownik.



Kiedy obudził się, nie miał pojęcia, ile minęło czasu, lecz zauważył natychmiast, że jaskrawe poranne słońce pustyni przeobraziło się w przyćmioną, pomarańczową poświatę popołudnia, chyląc się już ku zachodowi. Powietrze znacznie ochłodziło się, a jego zasklepione rany nie ułatwiały mu ruchów, nie był w stanie chociażby zmienić pozycji w niewygodnym powozie. Konie przepychały się bezustannie na skalistym podłożu pustyni, wstrząsając klatką i przysparzając Dariusowi wrażenia, że wali ustawicznie głową o metal, który rozrywa mu czaszkę. Przetarł oczy, ścierając zaschnięty brud z powiek, zastanawiając się, jak daleko może znajdować się stolica. Czuł, jakby już w tej chwili dotarł na kraniec świata.

Zamrugnął powiekami kilkakrotnie, po czym rozejrzał się, spodziewając jak zwykle ujrzeć pusty horyzont, pustynię pustkowie. Tym razem jednak został zaskoczony zgoła innym widokiem. Po raz pierwszy usiadł wyprostowany.

Powóz zwolnił, przycichł też nieco ogłuszający tętent koni. Drogi stały się mniej wyboiste. Kiedy tak przyglądał się bacznie krajobrazowi, zobaczył coś, czego już nigdy nie miał zapomnieć:

oto wyrastały z piasków pustyni, niczym twór zaginionej cywilizacji, masywne mury miasta, pnące się bodaj pod niebiosa i rozciągające się w dal jak okiem sięgnąć. Na ich tle odznaczały się ogromne, lśniące złote wrota. Wzdłuż murów na blankach wartę pełnili ustawieni w rzędach żołnierze Imperium. Darius natychmiast zrozumiał, że dojechali: dotarli do stolicy.

Dobiegający od drogi odgłos zmienił się, stał się przytłumiony, jakby drewniany. Darius spuścił wzrok i zobaczył, że przejeżdżają po łukowatym, zwodzonym moście. Minęli setki kolejnych żołnierzy pełniących wartę na moście, którzy na ich widok stawali na baczność.

Pod niebo wzbił się potężny jęk. Darius spojrzał przed siebie i zauważył, jak złote wrota, nieprawdopodobnie wysokie, otwierają się szeroko, jakby gotowe wziąć go w objęcia. Za nimi zaś zamigotało najwspanialsze miasto, jakie kiedykolwiek widział. Wiedział, bez krzty wątpliwości, że jest to miejsce, z którego nie ma ucieczki. Niejako na potwierdzenie tej myśli, usłyszał nagle odległy grzmot, dźwięk, który natychmiast rozpoznał: był to ryk dobiegający z areny, nowej areny, ludzi łaknących krwi oraz miejsca, które zapewne miało stać się miejscem jego ostatecznego spoczynku. Nie obawiał się tego: modlił się jedynie, by poległ, stojąc o własnych siłach, z mieczem w dłoni, w jeszcze jednym, ostatnim akcie męstwa.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Thorgrin pociągnął drżącymi dłońmi złotą linę jeszcze jeden, ostatni raz, i z Angel na plecach oraz potem zalewającym mu twarz, w końcu wdrapał się na urwisko. Upadł kolanami na ziemię, łapiąc oddech łapczywie. Odwrócił się i ujrzał, setki stóp poniżej, u dołu stromego klifu, załamujące się oceaniczne fale. Na plaży zaś widniał ich statek. Wyglądał na taki maleńki. Thor był zdumiony tym, jak wysoko się wspiał. Wszędzie wokół usłyszał liczne jęki i ujrzał Reece'a i Selese, Eldena oraz Indrę, O'Connora i Matusa, którzy właśnie kończyli wspinaczkę, wdrapując się na Wyspę Światła.

Thorgrin zerwał się na nogi, nie tracąc ani chwili. Ruszył w głąb wyspy z łomoczącym sercem, rozglądając się za Guwaynem. Kiedy jednak zobaczył, w jakim stanie znajduje się to miejsce, przeraził się na myśl, co jeszcze może tam zastać.

– GUWAYNE! – krzyknął, wznosząc dłonie do ust, i pobiegł przez tłące się jeszcze wzgórze.

Jego głos odbił się echem od rozległych pagórków i wrócił do niego, jakby chciał z niego zadrwić. Po czym zaległa cisza. Nic, tylko cisza.

Hen, wysoko, rozległ się pojedynczy pisk. Thor podniósł wzrok i zauważył wciąż kołującą nad nimi Lycoples. Wydała z siebie kolejny krzyk, zanurkowała w dół i odleciała w kierunku środka wyspy. Thor wyczuł natychmiast, że wie gdzie go do syna.

Zerwał się do biegu i pognął wraz z innymi przez zwęglone pustkowie, przeczesując całą okolicę wzrokiem.

– GUWAYNE! – krzyknął ponownie. – RAGON!

Widząc spustoszenie i zwęglone szczątki krajobrazu, nabierał oraz większego przekonania, że nic nie było w stanie przetrwać. Owe rozległe wzgórza, kiedyś pokryte bujną trawą i drzewami były teraz zaledwie zeszepeconym obliczem ziemi. Thor zastanawiał się, jakie to stworzenia, nie licząc smoków, były w stanie dokonać takich spustoszeń – a co ważniejsze, kto nimi kierował, kto je tu przysłał, i z jakiego powodu. Dlaczego jego syn był aż tak ważny, że ktoś wysłał po niego całą armię?

Thor spojrzał na horyzont, mając nadzieję ujrzeć jakiś ich ślad, lecz serce ścisnęło mu się z żalu. Niczego tam nie było. Poza dogorywającymi płomieniami na stokach wzgórz.

Pragnął wierzyć, że Guwayne w jakiś sposób przetrwał to wszystko. Lecz nie mógł pojąć, jak to było możliwe. Jeżeli tak potężny czarnoksiężnik, jak Ragon nie zdołał powstrzymać jakichkolwiek sił, które tu przybyły, to jak miałby uratować jego syna?

Po raz pierwszy od chwili, kiedy wyruszył na tę misję, Thor zaczął tracić nadzieję.

Biegli i biegli, to wspinając się, to zbiegając z kolejnych wzgórz, a kiedy wdrapali się na wyjątkowo wysoki pagórek, nagle O'Connor, który prowadził całą grupę, wskazał coś podekscytowany.

– Tam! – zawołał.

O'Connor wskazał palcem na szczątki wiekowego drzewa, osmalonego i z sękatymi konarami. Kiedy Thor przyjrzał się mu bliżej, zauważył leżące pod nim bez ruchu ciało.

Thor wyczuł natychmiast, że to Ragon. A po Guwaynie nie było śladu.

Zdjęty lękiem Thor runął przed siebie i kiedy dotarł do niego, upadł na kolana u jego boku, przeczesując wzrokiem okolicę w poszukiwaniu Guwayne'a. Żywił nadzieję, że może znajdzie go gdzieś zaplątanego w szaty Ragona, gdzieś niedaleko, może w jakiejś rozpadlinie.

Jednakże serce mu ścisnęło się, kiedy pojął, że nigdzie go nie ma.

Thor wyciągnął dłonie do Ragona i obrócił go. Jego szaty były osmalone i czarne. Thor modlił się, by jeszcze żył – a kiedy go odwrócił, poczuł łut nadziei, gdyż Ragon zatrzepotał przez chwilę rzęsami. Thor chwycił go za ramiona. Były wciąż gorące od pożogi. Thor odchylił jego kaptur i ze zgrozą spojrzał na jego osmaloną i oszpeconą przez płomienie twarz.

Ragon począł kasłać i sapać, wyraźnie walcząc o życie. Jego widok był dla Thora druzgocący – ten piękny mężczyzna, który okazał im tyle dobra, sprowadzony do takiego stanu za to, iż stanął w obronie swej wyspy, bronił Guwayne'a. Thor mimowolnie poczuł się odpowiedzialny za to wszystko.

– Ragonie – powiedział, a głos uwiązł mu w gardle. – Wybacz mi.

– To ja ciebie błagam o przebaczenie – powiedział Ragon

zachryptym głosem, niemal nie będąc w stanie wydusić z siebie słów. Zaniósł się kaszlem i po długiej chwili przemówił ponownie. – Guwayne... – zaczął, po czym zamilkł.

Serce Thora tłukło się w piersi nieskore, by usłyszeć kolejne słowa. Obawiał się, że za chwilę dowie się najgorszego. Jakże mógłby potem ponownie stanąć przed Gwendolyn?

– Mów – zażądał Thor, ściskając mu ramiona. – Czy chłopiec żyje?

Ragon zasapał się, starając się złapać oddech. Thor skinął na O'Connora i ten podał mu bukłak z wodą. Thor wlał płyn Ragonowi do ust i ten wypił go, kasłając co chwila.

W końcu Ragon pokręcił głową.

– Gorzej – powiedział głosem nieco bardziej doniosłym od szeptu. – Śmierć byłaby dla niego wybawieniem.

Ragon umilkł, a Thor niemal zatrząsł się ze zniecierpliwienia, pragnąc, by mężczyzna mówił dalej.

– Zabrali go stąd – powiedział wreszcie. – Wyrwali z moich ramion. Wszyscy, przybyli tu wszyscy, tylko po niego.

Serce Thora ścisnęło się z żalu na myśl, że jego drogie dziecko zostało porwane przez złowrogie stworzenia.

– Ale kto? – spytał Thor. – Kto za tym stoi? Kto jest potężniejszy od ciebie, kto zdołał to uczynić? Sądziłem, że twa moc, podobnie jak Argona, jest nie do pokonania, żadne stworzenie na tym świecie nie może ci dorównać.

Ragon przytaknął.

– Żadne stworzenie z tego świata, owszem – powiedział. –

Lecz te nie przybyły z tego świata. I nie z piekieł. Z o wiele gorszego i mroczniejszego miejsca: Krainy Krwi.

– Kraina Krwi? – spytał zdumiony Thorgrin. – Dotarłem do piekła i wróciłem z niego – dodał. – Jakie miejsce może być mroczniejsze?

Ragon pokręcił głową.

– Kraina Krwi to coś znacznie więcej niż jakieś miejsce. To cały kraj. Zło wcielone, potężniejsze od wszystkiego, co można sobie wyobrazić. To włości Krwawego Pana, które w ostatnich pokoleniach zyskały jedynie na mrocznej potędze. Między królestwami toczy się wojna. Pradawna bitwa między złem i światłem. Obie strony rywalizują o władzę. A Guwayne, obawiam się, stanowi klucz: ktokolwiek go posiadzie, wygra, zdobędzie władzę nad światem. Po wieki. Tego właśnie Argon ci nie powiedział. Czego nie mógł ci jak dotąd powiedzieć. Nie byłeś gotowy. Na to właśnie cię szkolił: wojnę potężniejszą niż wszystkie dotąd ci znane.

Thor spojrzał na niego z rozdziawionymi ustami, starając się to pojąć.

– Nie rozumiem – powiedział. – Nie zabrali Guwayne’a, by go zabić?

Pokręcił głową.

– Znacznie gorzej. Zabrali go, traktując jak własne dziecko, które odchowają na demona. Jest im potrzebny, by wypełniło się proroctwo, by mogli zniweczyć wszystko, co dobre na świecie.

Nogi ugięły się pod Thorem na te wieści, kiedy tak usilnie

starał się wszystko pojąć.

– Zatem będę musiał go odzyskać – powiedział z zimną determinacją, która przeniknęła całe jego ciało. Zwłaszcza kiedy usłyszał krzyk Lycoples unoszącej się hen wysoko nad nimi, równie spragnionej zemsty, co on.

Ragon wyciągnął dłoń i chwycił nadgarstek Thora z zadziwiającą siłą jak na umierającego człowieka. Zajrzał w oczy Thora z pasją, która go wystraszyła.

– Nie możesz – powiedział stanowczo. – W Krainie Krwi nie przeżyje żaden człowiek. Cena za wejście tam jest zbyt wysoka. Nawet z twymi wszystkimi mocami, zważ na me słowa: z pewnością zginiesz, jeśli tam podążysz. Wy wszyscy umrzecie. Nie jesteś jeszcze wystarczająco potężny. Musisz jeszcze potrenować. Musisz najpierw rozwinąć swe moce. To szaleństwo iść tam teraz. Nie odzyskasz syna i wszyscy zostanieiecie unicestwieni.

Jednakże determinacja w sercu Thora jedynie się wzmogła.

– Stawiłem czoła najmroczniejszej i największej z potęg tego świata – powiedział Thorgrin. – Wliczając w to własnego ojca. Nigdy nie ustąpiłem z powodu lęku. Zmierzę się z tym mrocznym władcą, bez względu na jego moce; wkroczę do tej Krainy Krwi, bez względu na cenę. To mój syn. Odzyskam go – lub zginę, próbując tego dokonać.

Ragon pokręcił głową, kasłając bezustannie.

– Nie jesteś gotowy – powiedział niknącym głosem. – Niegotowy... Potrzebna ci... moc... Potrzebny... krąg –

powiedział, po czym zaniósł się od kaszlu, brocząc krwią.

Thor spojrzał na niego, rozpaczliwie pragnąc dowiedzieć się, co Ragon ma na myśli, zanim rozstanie się z życiem.

– Jaki kraj? – spytał. – Nasza ojczyzna?

Nastąpiła długa chwila ciszy. Jedynym słyszalnym dźwiękiem, który niósł się w powietrzu, był świszczący oddech Ragona. Koniec końców, otworzył oczy, tylko odrobinę.

– Święty... kraj.

Thor chwycił ramiona Ragona, zachęcając go do dłuższej wypowiedzi, lecz nagle poczuł, jak jego ciało zeszytywniało mu w rękach. Jego oczy znieruchomiały, wydał z siebie ohydny okrzyk śmierci, a chwilę później przestał oddychać. Zastygł w idealnym bezruchu.

Martwy.

Thor poczuł, jak zalewa go fala bólu.

– NIE! – Odrzucił głowę w tył i zawył pod niebiosą. Pogryzł się we łzach rozpacz, wyciągnął dłonie i objął Ragona, tego wielkodusznego człowieka, który oddał życie, by strzec jego syna. Przytłoczyły go smutek i wyrzuty sumienia – powoli, acz miarowo wezbrało w nim nowe postanowienie.

Spojrzał na niebo. Wiedział, co musi uczynić.

– LYCOPLES! – krzyknął udręczonym głosem ojca, przez który przemawiała desperacja, wściekłość, świadomość, że nie zostało mu już nic do stracenia.

Lycoples usłyszała jego wołanie: wrzasnęła, hen, wysoko pod niebem. Jej furia dorównywała gniewowi Thora. Poczęła opadać,

zataczając coraz niższe kręgi, aż wylądowała kilka stóp od niego.

Nie wahając się ani chwili, podbiegł do niej, skoczył na jej grzbiet i przytrzymał mocno za szyję. Ponowne znalezienie się na grzbiecie smoka podziało na niego pobudzająco.

– Zaczekaj! – wrzasnął O’Connor, rzuciwszy się w jego stronę wraz z pozostałymi. – Dokąd to?

Thor spojrzał im w oczy.

– Do Krainy Krwi – odparł, będąc pewnym swego jak nigdy dotąd. – Uratuję mego syna. Cena nie gra roli.

– Zostaniesz unicestwiony – powiedział z poważną miną Reece, podchodząc do niego zatroskany.

– Zatem polegnę z honorem – odparł Thor.

Thor zerknął na niebo, spojrzał na horyzont, gdzie urywał się ślad za gargulcami – i pojął, dokąd musi się udać.

– W takim razie nie pójdziesz tam sam – zawołał Reece. – Popłyniemy twoim śladem na okręcie i spotkamy się na miejscu.

Thorgrin skinął głową, ścisnął Lycoples i nagle poczuł owo dobrze znane sobie wrażenie, kiedy oboje unieśli się w powietrze.

– Thorgrinie, nie! – odezwał się czyjś udręczony głos.

Wiedział, że głos należy do Angel i poczuł wyrzuty sumienia, że ją opuszcza.

Lecz nie mógł oglądać się za siebie. Jego syn znajdował się przed nim – i czy czekała go śmierć, czy nie, zamierzał go znaleźć – i pozabijać jego wrogów.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kilkoro sług otworzyło wysokie, łukiem sklepione drzwi i Gwendolyn, wraz z Krohnem u boku, weszła do sali tronowej króla. Widok, który zastała na miejscu, wywarł na niej wrażenie. W odległym krańcu komnaty, na tronie zasiadał król, sam w tym przepastnym miejscu, od którego murów odbiło się echo zamkniętych drzwi. Zbliżyła się do niego, idąc po brukowanej posadzce i mijając snopy słonecznego światła, które sączyło się do środka przez rzędy witraży rozświetlających całe pomieszczenie scenami walk pradawnych rycerzy. Miejsce to było równie przerażające, co pogodne, inspirujące i nawiedzone przez duchy królewskich przodków. Wyczuwała ich niemal namacalną obecność w powietrzu, która na zbyt wiele sposobów przypominała jej Królewski Dwór. Ogarnął ją nagle smutek i serce ścisnęło się jej z wielkiej tęsknoty za ojcem.

Król MacGil siedział wyniośle, z policzkiem podpartym na pięści, najwyraźniej pochłonięty jakąś myślą oraz, z czego Gwendolyn zdała sobie sprawę, obarczony trudami sprawowania władzy. Spojrzał na nią wzrokiem samotnego człowieka uwięzionego tu, w tym miejscu, człowieka, który dźwiga na barkach ciężar królestwa. Rozumiała to uczucie aż nazbyt dobrze.

– Ach, Gwendolyn – powiedział, rozpromieniwszy się na jej widok.

Spodziewała się, że pozostanie na tronie, lecz on natychmiast zerwał się na nogi i zbiegł po stopniach z kości słoniowej. Powitał ją z pogodnym uśmiechem na twarzy, pełen pokory, bezpretensjonalny – w odróżnieniu od innych władców. Gwendolyn odebrała jego pokorę z wielką ulgą, zwłaszcza po spotkaniu z jego synem, z powodu którego wciąż czuła się wstrząśnięta, na tyle na ile było ono złowieszcze. Zastanawiała się, czy powiedzieć o tym królowi; zdecydowała, że na razie powstrzyma się i poczeka na rozwój wydarzeń. Nie chciała wyjść na niewdzięczną, czy też rozpoczynać spotkanie negatywnym akcentem.

– Nic innego nie zaprzętało mi głowy od naszej wczorajszej rozmowy – powiedział, podszedł bliżej i objął ją serdecznie. Stojący obok Krohn zamruczał i trącił rękę króla, który spojrzał w dół na niego i uśmiechnął się. – A to kto? – spytał radośnie.

– Krohn – odparła. Ulżyło jej, iż król również jego obdarzył sympatią. – Mój lampart – a dokładniej – mego męża. Choć przypuszczam, że należy już równie do mnie, co do niego.

Odetchnęła z ulgą, gdy król uklęknął, objął głowę Krohna dłońmi, podrapał za uszami i pocałował, nie okazując strachu. Krohn zrewanżował się mu, liżąc go po twarzy.

– Wspaniałe zwierzę – powiedział. – Miła odmiana pośród naszych zwyczajnych psów.

Gwen spojrzała na niego. Była zaskoczona jego uprzejmością, gdy nagle przypomniała sobie słowa Mardiga.

– Zatem pozwalacie zwierzętom takim jak Krohn biegać po

zamku? – spytała.

Król odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się tubalnie.

– Oczywiście – odrzekł. – A dlaczegożby nie? Czyżby ktoś powiedział ci co innego?

Gwen zaczęła rozważać, czy powiedzieć mu o swym spotkaniu i zdecydowała, że wstrzyma się jeszcze; nie chciała być postrzegana jako skarżypyta i musiała dowiedzieć się więcej o tych ludziach, tej rodzinie, zanim wyciągnie jakieś wnioski, czy też pochopnie wpakuje się w sam środek rodzinnej tragedii. Pomyślała, że najlepiej będzie przemilczeć to na razie.

– Chciałeś mnie widzieć, mój królu? – powiedziała zamiast tego. Mina na jego twarzy natychmiast spoważniała.

– Owszem – powiedział. – Przerwano nam wczoraj naszą rozmowę, a wiele zostało jeszcze do przedyskutowania.

Odwrócił się i dał znak ruchem dłoni, by poszła za nim. Ruszyli razem przez przepastną komnatę w milczeniu, wybijając krokami rytmiczne echo. Gwen podniosła wzrok i przyjrzała się wysokiemu, strzelistemu stropowi, herbom na murach, trofeom, zbroi, orężowi... Podziwiała porządek panujący w tym miejscu; jak dużo chwały czerpali ci rycerze z bitwy. Sala ta przypominała jej miejsce, które mogłaby odnaleźć w Kręgu.

Pokonali komnatę, a kiedy dotarli na jej skraj, minęli kolejne dwuskrzydłowe drzwi z grubego na stopę, wiekowego dębu, gładkiego od wielu lat używania i wyszli na olbrzymi taras przylegający bezpośrednio do tronowej sali. Był szeroki na dobre pięćdziesiąt stóp i równie głęboki, a otaczała go marmurowa

balustrada.

Wyszła za królem, nad samą krawędź i, oparłszy dłonie o gładki marmur, wyjrzała na zewnątrz. Poniżej rozpościerało się nieskazitelne miasto Grani. Linie horyzontu wyznaczały kanciaste, łupkowe dachy wiekowych budowli o przeróżnym kształcie, wybudowanych jedna blisko drugiej. Miasto miało niejednorodny charakter, najwyraźniej ewoluowało na przełomie wieków, stało się przytulne, kameralne i nosiło ślady obecności wielu pokoleń. Wraz ze swymi szpicami i iglicami wyglądało jak miasto z bajki, zwłaszcza na tle błękitnej tafli wody lśniącej w słonecznym świetle – i jeszcze dalej, górujących szczytów grani, pnących się wysoko wokoło w postaci ogromnego kręgu, niczym wielka przeszkoda na drodze ku światu.

W przekonaniu Gwen, miejscu temu nie mogło przytrafić się nic złego, zważywszy na to, jak dobrze było ukryte przed zewnętrznym światem.

Król westchnął.

– Trudno wyobrazić sobie, że to miejsce umiera – powiedział —i dotarło do niej, że podzielał te same myśli.

– Trudno wyobrazić sobie – dodał, że *ja* umieram.

Gwen zwróciła się ku niemu i zauważyła, że jego jasnoniebieskie oczy wyrażały cierpienie, były przepełnione smutkiem. Owładnęła ją nagła troska.

– Co ci dolega, panie? – spytała. – Z pewnością, co by to nie było, uzdrowiciele potrafią to uleczyć?

Powoli pokręcił głową.

– Byłem już u wszystkich uzdrowicieli – odrzekł. – Najlepszych w całym królestwie, oczywiście. Nie mają na to leku. Jest jak rak toczący całe moje ciało.

Westchnął i spojrzał na horyzont, a Gwen poczuła przytłaczający ciężar smutku. Dlaczego to zawsze dobrych ludzi nękały wszelakie tragedie – podczas gdy ci źli w jakiś sposób potrafili je omijać?

– Nie mam współczucia dla siebie – dodał król. – Pogodziłem się z losem. Niepokoi mnie co innego – moja spuścizna. Moje dzieci. Me królestwo. Tylko to liczy się teraz dla mnie. Nie mogę planować własnej przyszłości, lecz przynajmniej mogę nakreślić ich.

Zwrócił się ku niej.

– I z tego powodu ciebie wezwałem.

Serce pękało Gwen z żalu. Wiedziała, że zrobi wszystko, aby mu pomóc.

– Choć bardzo tego pragnę – odparła – nie wiem, w czym mogłabym być ci pomocna. Masz do swej dyspozycji całe królestwo. Co takiego mogę ci zaoferować, czego inni nie są w stanie?

Westchnął.

– Mamy te same cele – powiedział. – Pragniesz ujrzeć porażkę Imperium – ja również. Pragniesz bezpiecznej i spokojnej przystani dla swej rodziny, dla swego ludu, w przyszłości, z dala od macek Imperium – ja również. Naturalnie, mamy tu pokój, teraz, za osłoną Grani. Lecz to nie jest prawdziwy pokój. Wolni

ludzie mogą podążać, dokąd dusza zapagnie – my nie możemy. Nie żyjemy jak ludzie wolni, skoro ukrywamy się przez cały czas. I na tym polega istotna różnica.

Westchnął.

– Naturalnie, żyjemy w niedoskonałym świecie, a możliwe, że właśnie to jest najlepsze, co ma nam do zaoferowania. Choć sądzę, że nie.

Zamilkł na długą chwilę, Gwen zastanawiała się do czego zmierza.

– Żyjemy w ciągłym strachu, zarówno ja, jak i mój ojciec przede mną – wreszcie podjął temat – strachu, iż zostaniemy odkryci, że Imperium znajdzie nas tutaj, w Grani, że przybędą tu jego zastępy i przyniosą wojnę pod nasze progi. Wojownicy nie powinni żyć w obawie. Istnieje wyraźna różnica między stanem na straży zamku, a obawą przed swobodnym jego opuszczeniem. Wielki wojownik umacnia bramy i broni zamku – lecz jeszcze większy otwiera je szeroko i nieustraszenie stawia czoła każdemu, kto w nie zapuka.

Odwrócił się ku niej, a ona zauważyła w jego oczach królewską determinację. Wyczuła emanującą od niego siłę – i w tej samej chwili pojęła, dlaczego jest królem.

– Lepiej zginąć, stając twarzą w twarz z wrogiem, odważnie, niż czekać na niego bezpiecznie, aż podejdzie pod nasze bramy.

Gwen zdumiała się.

– Pragniesz zatem – powiedziała – zaatakować Imperium?

Spojrzał na nią, a ona wciąż nie potrafiła pojąć wyrazu jego

twarży, zrozumieć, jakie myśli kłębią się w jego głowie.

– Owszem – odrzekł. – Lecz to stanowisko nie cieszy się popularnością. Również moi przodkowie nie spotkali się ze zrozumieniem, z którego to powodu nigdy tego nie uczynili. Zrozum, bezpieczeństwo i szczodrość w swoisty sposób zmiękczają lud, sprawiają, że nie jest skory zrezygnować z tego, co już posiada. Gdybym wypowiedział wojnę, stanęłoby za mną wielu wspaniałych rycerzy – ale też liczne rzesze nieprzychylnych obywateli. A być może, doszłoby do rewolucji.

Gwen rozejrzała się. Spojrzała spod przymrużonych powiek na szczyty Grani majaczące na horyzoncie, okiem królowej, wytrawnego stratega, którym się stała.

– Wygląda na to, że atak Imperium graniczy z niemożliwym – odrzekła – nawet gdyby w jakiś sposób was znalazło. Jak miałoby wspiąć się na te ściany? Czy przekroczyć jezioro?

Złożył dłonie na biodrach, spojrzał w dal i razem z nią przeczesał horyzont wzrokiem.

– Z pewnością mielibyśmy przewagę – odparł. – Za każdego naszego człowieka zdołalibyśmy ubić z setkę wroga. Problem w tym, że mają całe miliony w zapasie – my jedynie tysiące. Koniec końców, wygrają.

– Czy poświęciliby miliony dla niewielkiego skrawka Imperium? – spytała, znając odpowiedź jeszcze zanim zadała pytanie. Wszak była naocznym świadkiem tego, jak dużo Imperium wyrzekło się, by zaatakować Krąg.

– Są bezlitośni w podbojach – powiedział. – Poświęcą

wszystko. Taka już ich natura. Nigdy nie poprzestaną. Tego jestem pewien.

– Zatem, jak mogę pomóc ci, panie? – spytała.

Westchnął. Milczał przez dłuższą chwilę, spoglądając na linię horyzontu.

– Chcę, być pomogła mi ocalić Grań – powiedział w końcu, patrząc na nią z wielką powagą wyzierającą mu z oczu.

– Ale w jaki sposób? – spytała skonsternowana.

– Nasze przepowiednie głoszą przybycie kogoś z zewnątrz – powiedział. – Kobiety. Z innego królestwa, położonego za morzem. Wieszczą, iż ocali Grań, poprowadzi nasz lud przez pustynię. Nie wiedziałem, co oznaczają, aż do teraz. Wierzę, że ty jesteś tą kobietą.

Słowa króla przyprawiły ją o dreszcze; jej serce wciąż krwawiło z powodu wygnania, na jakie skazano jej lud, tego, iż Krąg popadł w ruinę, ale też z tęsknoty za Thorem i Guwaynem. Nie mogła znieść myśli, iż miałaby ponieść jarzmo kolejnego przywództwa.

– Grań umiera – kontynuował, podczas gdy ona stała w milczeniu. – Każdego dnia źródło naszych wód usycha coraz bardziej. Kiedy życie mych dzieci dobiegnie końca, wodę zastąpi susza i zniknie źródło naszego pożywienia. Muszę myśleć o przyszłości, czego moi ojcowie nie czynili. Podjęcie działań nie jest już tylko kwestią wyboru—to konieczność.

– Ale jakich działań? – spytała.

Westchnął, spoglądając na horyzont.

– Istnieje sposób na uratowanie Grani – powiedział. – Powiadają, że napisano o nim w starożytnych księgach, tych, których strzegą Poszukiwacze Światła.

Spojrzała na niego zdumiona.

– Poszukiwacze Światła? – spytała.

– Moje królestwo również toczy rak – wyjaśnił. – O ile wszystko z ulicy wygląda idealnie, daleko mu do tego. Wśród ludu wyrasta pnące, latorośl w postaci nowego wierzenia. Religii. Kultu. Poszukiwaczy Światła. Jej wyznawców przybywa z każdym dniem. Rozrosła się i jest już obecna w każdym zakątku stolicy. Sięgnęła nawet do serca mojej rodziny. Możesz to pojąć? Rodziny króla?

Starła się to wszystko zrozumieć, lecz nie mogła nadażyć za jego opowieścią.

– Eldof. Tak ma na imię ich przywódca, człowiek, jak każdy z nas, który wierzy, że jest bogiem. Głosi swą fałszywą religię swoim fałszywym prorokom i wyznawcom, a oni uczynią wszystko, co im mówi. Wielu moich poddanych jest obecnie bardziej skłonnych wykonać jego polecenia niż moje.

Spojrzał na nią, z troską wyrytą wieloma zmarszczkami na twarzy.

– Znajduję się w niebezpieczeństwie – dodał. – My wszyscy. I to nie tylko z powodu tego, co czai się za Granią.

Tak wiele pytań kotłowało się w głowie Gwen, jednak nie chciała wyjść na wścibską; zamiast tego dała mu czas, by wszystko przemyślał i poprosił ją o to, co zamierzał.

– Ponoć owe starożytne księgi znajdują się głęboko w podziemiach jego klasztoru – dodał w końcu po długiej chwili milczenia, podczas której pocierał dłonią brodę, wpatrując się w posadzkę, jakby pograżył się we wspomnieniach. – Przetrzęsnałem je już wielokrotnie – lecz wszystko daremnie. Oczywiście, mogą wcale nie istnieć – lecz ufam, iż to nieprawda. I wierzę, że zawierają odpowiedź.

Zwrócił się do niej.

– Musisz wejść do klasztoru – powiedział. – Zaprzyjajnij się z Eldofem. Znajdź księgi. Odkryj dla mnie tajemnicę, która pomoże ocalić mój lud.

Gwen starała się usilnie pojąć to, o co ją prosił. W głowie zakręciło się jej od tych nowin.

– A więc chcesz, bym spotkała się z Eldofem? – spytała. – Przywódcą kultu?

– Nie, nie z nim – odparł król. – Z jego naczelnym kapłanem. Moim synem. Kristofem.

Gwen popatrzyła na niego ze zdumieniem.

– Twoim *synem*? – spytała.

Król przytaknął skinieniem głowy, a w jego oczach pojawiły się łzy.

– Przyznaję to ze wstydem – odrzekł. – Utraciłem syna po wieki. Lecz być może posłucha ciebie, kogoś z zewnątrz. Błagam. To ojcowskie życzenie. I to dla dobra całej Grani.

Choć poczuła się przytłoczona, jakby właśnie została wepchnięta w polityczną i rodzinną intrygę, Gwen wciąż była

natchniona poczuciem konieczności wykonania misji.

– Uczynię wszystko, co w mej mocy, by ci pomóc – powiedziała z powagą.

Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi.

– Czy to wszystko, czego ode mnie oczekujesz? – spytała. – Wydaje się to prostym zadaniem.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.